

W numerze: ZOFIA TARNOWSKA *Osiedlowa rzeczywistość* ● KAROL BADZIAK *Prawdziwe było tylko nazwisko* ● TERESA WOJCIECHOWSKA *Szwedzi w Paryżu* ● EWA NURCZYŃSKA *„Młodzi i starzy” w Krakowie* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*

odgłosy



24 (708)

13. VI. 1971 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. M. Tuma (CSRS)

JAN KOPROWSKI

W beczce miodu trochę dziegciu

Nadeszła pora, aby o sprawach Łodzi kulturalnej mówić pełnym głosem. Bez owijania w bawełnę, kłajstru i łatwego optymizmu. Przez tyle lat mówiono, przy każdej okazji, o sukcesach i osiągnięciach. Nagle okazało się, że tych sukcesów nie ma. Jeśli więc było tak dobrze, dlaczego jest tak źle? Kto ma rację: ci, co chwaliłi wczoraj, czy ci, co ganią dzisiaj? A może nikt z nich nie ma racji, może prawda nie leży pośrodku, tylko jeszcze gdzieś indziej.

Piszący te słowa sprowadził się do Łodzi w 1950 roku. Nie jest więc łodzianinem krew z krwi i kość z kości, jak lubią mówić o sobie niektórzy. Ale do Łodzi przywiązał się na tyle, że uważa ją za swoje miasto i pragnie (jak wielu jemu podobnych), aby wszystko, co się tutaj dzieje, miało wartość i znaczenie dla kultury polskiej. Oczywiście, w sensie materialnym zrobiło się w Łodzi niemało. To miasto, tak zaniedbane pod każdym względem, musiało zatroszczyć się przede wszystkim o wyprowadzenie ludzi z nor i suteren. Nikt, kto rozsądny, nie zaprzeczy, że plan ten udało się zrealizować prawie w stu procentach. Prawda: metraż mieszkaniowy w budownictwie łódzkim mniejszy, niż w innych wielkich miastach i trzeba by zapytać, kto temu winien — miejscowi gospodarze, czy jeszcze ktoś ponadto. W dziedzinie inwestycji kulturalnych wybudowano Teatr Wielki — chlubę miasta. Wbrew temu, co powiedziano w dyskusji na łamach „Trybuny Ludu” (zresztą dyskusji w sumie ciekawej i bardzo potrzebnej), przedsięwzięcie ogromne. Nawet w bogatych metropoliach kapitalistycznych inwestycje tego rodzaju (właśnie tego rodzaju) nie powstają z roku na rok. Ale o wartości poczynań kulturotwórczych nie decyduje baza materialna, choć jest ona niezbędna. Ilość domów kultury, klubów, teatrów, kin, świetlic itp. nie świadczy, sama przez się, o bogactwie kulturalnym miasta. Dopiero odpowiedź na pytanie: co się w tych instytucjach dzieje, jakie tam treści i programy, kto z nich korzysta i jaki wywierają one wpływ na kształtowanie się opinii, gustów i postaw społecznych — zobrazuje stan rzeczywistości. A to znowu w kolej zależy od tego, jacy ludzie kierują pracą kulturalną i tworzą ów klimat, bez istnienia którego niepodobna myśleć i mówić o organizowaniu i upowszechnianiu wartości artystycznych. Nie ma co ukrywać: w latach minionych, tak przecie niedawnych, Łódź nie miała szczęścia do kierowników życia kulturalnego. Ludzie odpowiedzialni za rozwój i należytą organizację twórczości artystycznej okazywali się nieudolni, niekiedy — niekompetentni, nierzadko — właśnie na sprawy kultury zupełnie objętni. Odplyw wielu wartościowych twórców z naszego miasta mamy im, niestety, do zawdzięczenia.

Oto przykład pierwszy. Wybitny kompozytor polski, Tadeusz Paćciorkiewicz, który bynajmniej nie miał zamiaru opuszczać Łodzi, udał się do ówczesnego wiceprzewodniczącego PRN z prośbą o przydział większego mieszkania, w którym mógłby swobodnie i wydajnie pracować. W odpowiedzi usłyszał, że mieszkania takiego nie otrzyma. Kompozytor, człowiek skromny, ale mający poczucie własnej wartości, oświadczył nie bez pewnego zażenowania, że w takim razie będzie musiał pomyśleć o przeprowadzce do innego miasta. Wiceprzewodniczący wcale się tym nie zmartwił i odpowiedział krótko: „Proszę bardzo”. Istotnie w jakimś czasie potem Tadeusz Paćciorkiewicz przeniósł się do Warszawy, gdzie stał się wykładowcą w Wyższej Szkole Muzycznej, a jego kompozycje wykonywano zarówno w stolicy jak i poza granicami kraju.

Przykład drugi. Kiedy Teatr Wielki wszedł w fazę decydującej budowy, zaczęto myśleć o jego przyszłym wykorzystaniu. Władze zwróciły się do ówczesnego dyrektora Teatru Nowego, aby złożył memoriał jak wyobraża sobie pracę przyszłego kombinatu teatralnego. Kazimierz Dejmek pracował nad tym memoriałem kilka tygodni. Wiem o tym, bo przecież byłem wówczas jego kierownikiem literackim. Plan artystycznego zagospodarowania tej nowej sceny, wedle planów Dejmka, był wspaniały. Chodziło mu o stworzenie drugiego, poza Warszawą, ośrodka teatralnego, który miałby wszystkie niezbędne warunki do wszechstronnego rozwoju. Ówczesny dyrektor Teatru Nowego projektował założenie przy Teatrze Wielkim studia,

Dalszy ciąg na str. 3

FELIKS BABOL

BOKS-PIĘKNY, MĘSKI SPORT?...

Zaczął się od tego, że koledzy zwrócili mi uwagę na krótką wiadomość w prasie codziennej, że na ringu w Elku pod Białymstokiem jeden z zawodników otrzymał tak druzgocące uderzenie, że wkrótce zmarł. — No, a jaki jest twój stosunek do boks? — zapytali. Już miałem odpowiedzieć, że

to piękny, męski sport... ale ta notatka o śmierci młodego człowieka zmusiła do głębszego zastanowienia. — Wiecie co, zrobię ankietę na ten temat, może w ten sposób będziemy bliżsi tego, co sądzić o tym pięknym...

Najpierw przypomnijmy więc, co pisała „Kultura”. W artykule Jerzego Laniew-

skiego pt. „Zgodnie z prawem” (z dnia 2 maja br.) przeczytałem:

„W tym samym czasie, kiedy cała Polska oczekiwała komunikatów o wynikach, jak się wtedy zdawało, beznadziejnej akcji ratowniczych w kopalni „Rokitnica”, ukazała się w prasie notatka pt. „Podczas spartakiady młodzieży okręgu białostockiego w boksie poniósł śmierć 17-letni pięściarz klubu ŁKS „Łomża”, Zbigniew Kopański.

Po siedmiu dniach akcji ratowniczej kilkudziesięciu ludzi z narażeniem własnego życia uratowało życie Alojzego Pionka. Jedno uderzenie na ringu w Elku spowodowało śmierć Zbigniewa Kopańskiego. Rzykowna walka o uratowanie życia i śmierć dla zabawy...”

Tyle w Elku. A w Łodzi? W jednej z gazet czytaliśmy niedawno:

„Wczoraj w Pałacu Sportowym przy dźwiękach fanfar wręczono ostatnio szarty nowo

kreowanym mistrzom boks okręgu łódzkiego. Przez okrągłe trzy dni mistrzostwa trzymały w dużym napięciu wszystkich kibiców tego sportu i dostarczyły im dużo emocji, tudzież niespodzianek... Morderczy i dramatyczny przebieg miały walki w wagach półciężkiej i ciężkiej. W pierwszej z nich Piech był leżony w I rundzie, w trzeciej Szezurtek otrzymał napomnienie, pomimo którego jednak walkę nieznacznie wygrał. W wadze ciężkiej nie skąpano również słynnych ciósów. Losy jej ważyły się aż do chwili jej przerwania w trzeciej rundzie. W tym pojedynku Cichulski był na deskach...”

Co to znaczy „był leżony”, co to znaczy „był na deskach”? Może się mylę, ale według mnie oznacza to, że zawodnik stracił na chwilę (na czas tzw. liczenia

Dalszy ciąg na str. 4



„Współczesna Finlandia, pod kierownictwem prezydenta Kekkonena prowadzi politykę pokoju i neutralności oraz gotowa jest uczestniczyć we wszystkich działaniach, zmierzających do odprężenia międzynarodowego, pokoju i bezpieczeństwa”. Tymi słowami min. S. Jędrzychowski na lotnisku w Warszawie podsumował wynik swej czterodniowej wizyty w Finlandii. Przypadła ona na okres bogatego sezonu politycznego, a miała na celu przedyskutowanie współpracy w przygotowaniach do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Informuje o tym wspólny komunikat polsko-fiński, w którym czytamy m.in.:

„Rozmowy dotyczyły przede wszystkim konferencji w sprawie bezpieczeństwa europejskiego i współpracy. Obie strony stwierdziły, że będą kontynuować wysiłki na rzecz takiej konferencji, która — dobrze przygotowana i z udziałem wszystkich zainteresowanych państw — przyczyniłaby się skutecznie do umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie. Ministrowie wyrazili nadzieję, że rozwój sytuacji umożliwi szybkie przejście do wielostronnych przygotowań takiej konferencji”.

Wymianą poglądów objęto również: problem niemiecki, sytuację w Azji Południowo-Wschodniej i na Bliskim Wschodzie oraz stosunki dwustronne. W czasie wizyty podpisano konwencję konsularną oraz osiągnięto nowe porozumienia bilateralne m.in. w dziedzinie komunikacji. Premier i minister Spraw Zagranicznych Finlandii zaproszeni zostali do złożenia wizyty w Polsce. Pokłosie wizyty jest więc bogate. Potwierdza ona jak dobre są nasze stosunki i jakie zarysowują się dalsze perspektywy. Zgodność zaś poglądów w ocenie wielu problemów międzynarodowych i gotowość aktywnego uczestniczenia w przygotowaniach do europejskiej konferencji mają znaczenie szersze niż w odniesieniu do obu krajów.

Zbiegiem okoliczności — w tym samym czasie, kiedy w Helsinkach toczyły się rozmowy polsko-fińskie, w Lizbonie obradowali ministrowie Spraw Zagranicznych krajów NATO. Obrady te minęły głównie pod znakiem poszukiwania odpowiedzi na propozycje krajów socjalistycznych — właśnie w sprawie europejskiej konferencji oraz zredukowania sił militarnych w środkowej Europie.

W pierwszej kwestii Rada NATO nie odrzuciła koncepcji wielostronnych rozmów przygotowawczych, natomiast ponownie zawiązała je z postępowaniem w sprawie Berlina zachodniego. Wprowadzone jednak do komunikatu końcowego sformułowanie, że przed następną sesją ministerialną można spodziewać się pomyślnego zakończenia rozmów 4 mocarstw i utędy będzie można podjąć wielostronne kontakty na temat europejskiej konferencji — przybliżyła czas zwołania konferencji. Równocześnie zalecono, aby rada kontynuowała przeglądy osiągniętych wyników we wszystkich rozmowach, odnoszących się do bezpieczeństwa i współpracy.

W drugiej kwestii udziałem Związków Radzieckiemu pozytywnej odpowiedzi, wyrażając gotowość rozważenia redukcji sił zbrojnych i broni w Europie środkowej. Zasygnalizowano nasilenie wstępnych kontaktów z ZSRR, wyrażono możliwość „przejścia do rokowań tak szybko, jak tylko pozwolą na to względy praktyczne”, zapowiadając jednocześnie mianowanie przedstawiciela, odpowiedzialnego za prowadzenie dalszych rozmów z ZSRR i innymi krajami oraz ustalenie miejsca, czasu i porządku dziennego rokowań na temat zrównoważonej redukcji sił zbrojnych.

W komunikacie lizbońskiej sesji warto jeszcze zwrócić uwagę na pozytywne ustosunkowanie się do radziecko-amerykańskiego porozumienia w sprawie SALT (pisaliśmy o tym szczegółowiej), w którym ministrowie dopatrują się szans na postęp również w innych sprawach.

Sesja Rady Ministrów NATO nie przyniosła jeszcze jasnych sprecyzowanych odpowiedzi na propozycje krajów socjalistycznych, jednak ujawniła tendencje do odprężenia. Od tego, czy są szczerze — zależy będzie dalszy bieg wydarzeń.

„Times” pisze:
„Komunikat końcowy odzwierciedla nieco bardziej optymistyczną atmosferę niż ta, jaka była przed sześcioma miesiącami — w czasie spotkania w Brukseli. Jakkolwiek jest to jeszcze za mało, aby uczynić wiosną, jednakże dosyć, aby zaczęły się rozmowy...”

Na zakończenie przeglądu wydarzeń nawiążemy do czwartej rocznicy agresji Izraela na kraje arabskie. Z tej okazji liczni przywódcy arabscy złożyli oświadczenia, podkreślające, iż przeszkodą w pokojowym rozwiązaniu konfliktu jest nadal ekspansjonistyczna polityka Tel Awiwu. Przywódcy izraelscy od listopada 1967 roku uchylają się od wykonania rezolucji Rady Bezpieczeństwa, milczą wobec częściowych propozycji, jak na przykład zplombowanie przed 4 miesiącami przez ZRA w sprawie odblokowania Kanału Sueskiego, prowadzą politykę judaizacji zagarniętych przemocą terytoriów arabskich. I chociaż czwarta rocznica zbrojnej napaści minęła w atmosferze mniejszego napięcia niż poprzednie, gdyż od 10 miesięcy milczą działa na froncie sueskim, a jednocześnie krzyżują się kanały dyplomatycznych rozmów — to przecież nie można odnotować postępu na drodze niemiłostnego rozstrzygnięcia problemu. A ten tylko mógłby wnieść pewność, że któregoś dnia znów nie padną strzały na liniach przzerwania ognia.

Ani bezpośrednią agresję przed czterema laty, ani późniejszymi prowokacjami i odmową zastosowania się do postanowień Rady Bezpieczeństwa — Izrael nie osiągnął swoich celów. Miał rozbić świat arabski, jak to leżało w jego celach, zintegrował go, sam upędzając się w izolację. Czyż chociażby z tego nie powinny wynikać oczywiste nauki?

W. SŁAWSKI

Zawszqd o wszystkim

Zawszqd o wszystkim

Tokio w obliczu niebezpieczeństwa

„SIUKAN ASAHI” — TOKIO

Urząd obrony narodowej Japonii opublikował plan mobilizacyjny na wypadek trzęsienia ziemi w Tokio. Jeżeliby stolicę nawiedziło trzęsienie ziemi o rozmiarach klęski z roku 1923, do ewakuacji ludności trzeba by użyć 57 tysięcy żołnierzy, 386 samolotów, 1040 samochodów ciężarowych, 386 statków.

Opracowanie tych ekstremistycznych planów ewakuacji spowodowało oświadczenie prof. Hiroshi Kawasumi, złożone na sesji kongresu sejsmologicznego. Po przedstawieniu wyczerpujących danych statystycznych profesor wyraził przekonanie, iż rejonowi Tokio zagraża ogromnej sily wybuch sejsmiczny, który powinien nastąpić w okresie do końca bieżącego stulecia, a być może i wcześniej. Okres maksymalnego niebezpieczeństwa rozpocznie się u schyłku lat siedemdziesiątych, ponieważ trzęsienia ziemi w rejonie Kantō, w którego centrum leży właśnie stolica Japonii, następują w odstępach co 70 lat, z wahaniami od 10 do 15 lat.

Japońscy sejsmologowie są zgodni co do tego, iż w najbliższej przyszłości może nastąpić w Tokio trzęsienie ziemi o sile 6,5 balla, jakie zarejestrowano w lutym tego roku w Los Angeles. Jak jest przygotowana na taką ewentualność stolica Japonii? O wiele lepiej niż Los Angeles — twierdzą przedstawiciele kompanii budowlanej „Kodzima”, będącej projektantem i budowniczym drapaczy chmur, które tak dalece zmieniły oblicze Tokio.

Jednakże zapewnienia te nie uspokoiły opinii publicznej. Bowiem największe niebezpieczeństwo — jak się tutaj ogólnie uważa — stanowią nie gigantyczne żelbetonowe konstrukcje, lecz tysiące pożarów, które nieuchronnie wybuchną w niezliczonych dzielnicach jedno- i dwupiętrowych domów. Wszak i w 1923 roku ponad dwie trzecie ofiar spośród 140 tysięcy zabitych w czasie trzęsienia ziemi spowodował ogień szalejący w stolicy Japonii. Ale wówczas mieszkało w Tokio niewiele ponad półtora miliona ludzi. Szacuje się, że jeśli trzęsienie ziemi o takiej samej sile wydarzy się dziś, liczba ofiar w 11-milionowej stolicy może przewyższyć 500 tysięcy ludzi. Profesor Kawasumi uważa, iż przy wietrze, wiejącym z szybkością 12 metrów na sekundę (a z taką szybkością wieją zimą wiatry w Tokio), spłonie 90 procent miasta.

Obecnie Tokio nie jest w pełni przygotowane nawet na mały pożar, oczywiście w skali tego miasta. W sytuacji pożarowej szczególnie zagrożone będą miejskie rejonu Koto i Sumida, położone we wschodniej części Tokio, gęsto zabudowane na przestrzeni wielu kilometrów domkami biedoty. Nie ma tam instalacji wodociągowych, mieszkanie ogrzewa się piecykami na naftę. Poważne niebezpieczeństwo stwarzają też szybkie drogi wiadukowe, które muszą runąć przy pierwszym silniejszym wstrząsie ziemi, tarasując ulice miasta...

Złote runo turystyki

„SPIEGEL” — HAMBURG

Piaszczyste plaże andaluzyjskiej osady Torremolinos, w pobliżu Malagi, ziały pustką zimą i latem. Ani jedno biuro podróży nie wiedziało nawet o istnieniu tej zapadłej wsi z 600 mieszkańcami. Tak było piętnaście lat temu... Dziś przez plażę Torremolinos przetacza się ogromna fala ludzka. Menedżerowie przemysłu turystycznego ściągają tutaj co roku, ze wszystkich stron zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych, około miliona osób, spragnionych wypoczynku. Krajobraz dzisiejszego kurortu Torremolinos akcentują sylwety 16-piętrowych hoteli.

Jedenaście lat temu tunezyjska osada Hammamet oferowała nielicznym turystom zaledwie dwa prymitywne schroniska, po 25 miejsc w każdym. Dziś do dyspozycji turystów, przybywających z Europy, oddaje ona ponad siedem tysięcy miejsc w nowoczesnych hotelach. Wzdłuż dziewięciokilometrowej plaży wyrastają coraz to inne, nowoczesne bloki.

Na wybrzeżach Morza Śródziemnego i Morza Czarnego, Oceanu Atlantyckiego i Oceanu Spokojnego — firmy budowlane wznoszą całe miasta turystyczne. Wydaje się miliony na przekształcanie błotnistych wybrzeży morskich w przepiękne plaże (np. w południowej Francji). W dzikich, skalistych urwiskach draży się maleńkie, urocze zatoki. Do odległych rezerwatów prowadzi się asfaltowe autostrady (np. w Kenii i Nepalu).

Ani jeden kraj, biedny czy bogaty, nie chce zrezygnować z wysoce dochodowego biznesu turystycznego. Od Antarktydy po Alaskę, od wyspy Bali po wyspy Bahama, słowem wszędzie, robi się wszystko,

aby tylko przyciągnąć turystów, a tym samym i strumienie walut.

W 1969 roku w zagranicznych wojazach turystycznych wzięło udział blisko 150 milionów ludzi. Ktoś nazwał ten ogromny ruch turystyczny „wielkim przemieszczeniem narodów w skali nie spotykanej w historii”. Owe 150 milionów turystów stało się źródłem prawdziwego „złotego” deszczu: pozostawili oni poza granicami swych krajów około 60 miliardów marek zachodniemieckich. W przybliżeniu równa się to wartości rocznego światowego wydobycia aluminium, ołowiu, miedzi i rudy żelaza razem wziętych.

Obecnie na turystykę międzynarodową przypada około 7 procent obrotu handlu światowego. Zaś dla wielu krajów turystyka stała się ważną pozycją dochodową w bilansie handlu zagranicznego, bez której groziłoby im bankructwo. Biznes turystyczny przynosi Austrii 23 procent jej dochodów walutowych, Portugalii — 28 procent, Hiszpanii — 41 procent, Meksykowi — 44 procent. Kanada zarabia na turystach, przyjeżdżających co roku do tego kraju lasów i jezior, więcej niż na sprzedaży swej pszenicy.

Dziś turystyka jest potężną gałęzią przemysłu. Inwestycje zwracają się bardzo szybko. Odnosi się to zarówno do inwestycji państwowych, jak i prywatnych, ponieważ boom turystyczny z każdym rokiem bije coraz to nowe rekordy.

W miesiącach letnich największą ilość samolotów (nie licząc Nowego Jorku) przyjmuje port lotniczy na Majorce, hiszpańskiej wyspie na Morzu Śródziemnym, utrzy-

mującej się wyłącznie z turystyki międzynarodowej. Jeszcze większy rozmach turystyki (i jeszcze większe dochody) rokuje rychłe wprowadzenie na powietrznych liniach komunikacyjnych gigantycznych samolotów pasażerskich na 400—500 osób.

Ciekawe, iż te kraje zachodnie, które zrezygnowały z państwowego planowania turystyki, zaczęły w tej dziedzinie szybko pozostawać w tyle za innymi krajami. Na przykład w Grecji, gdzie w latach sześćdziesiątych turystykę wydzierżawiono sektorowi prywatnemu, nie zanotowano jej wzrostu. Dlatego to, coraz więcej krajów planuje i subsydiuje przemysł turystyczny. Państwo łoży miliony na budowę dróg, sieci wodociągowych i elektrycznych w rejonach wypoczynkowych, proponuje właścicielom hoteli i restauracji wygodne kredyty i ulgi podatkowe, aby tylko przyciągnąć gości z zagranicy.

Włoski minister resortu turystyki wystąpił w ubiegłym roku z krytyką takich posunięć w krajach — konkurentach. Nie należy jednak mniemać, iż Włochy nie robią tego samego. Rząd włoski także subsydiuje przemysł turystyczny. Na przykład władze samorządowe na Sycylii przycinają wszystkim włoskim biurom podróży, które włączają wyspę do planów marszrut turystycznej, dotację w wysokości 5 procent kosztów przejazdu turystów. Osobom prywatnym oraz firmom, budującym hotele w południowych Włoszech, udziela się kredytów na bardzo korzystnych warunkach.

Największy projekt sztucznego tworzono rejonu turystycznego urzeczywistnia się obecnie we Francji, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, między ujściem rzeki Rhone, a granicą hiszpańską. Jeszcze kilka lat temu cała ta część francuskiego wybrzeża — zachodniej delty Ryonu — była ponurym pustkowiem, zatopionym w bagnach i rojącym się miliardami komarów. Długie kolumny samochodów z turystami omijały to niegościnnie wybrzeże, kierując się do plaż hiszpańskich.

Teraz, wzdłuż całego 180-kilometrowego brzegu wyrasta gigantyczny kurort — hotele i domki jednorodzinne, „wioski” turystyczne, campingi. Kompleks tego rejonu wypoczynkowo-turystycznego jest obliczony na przyjęcie dwóch milionów turystów rocznie! Buduje się tutaj dwadzieścia sztucznych zatok na przystanie dla jachtów. Instaluje się porty lotnicze i buduje nowoczesne autostrady. Na wyniszczenie komarów wydano, jak dotąd, 78 milionów franków. Zasadzono lasy na powierzchni sześciu tysięcy hektarów, wybudowano gęstą sieć dróg wewnętrznych.

Nowe rewelacje endoskopii

„WIENER ZEITUNG” — WIEDEŃ

Zakończony niedawno w Monachium międzynarodowy kongres endoskopii stał się prawdziwą sensacją. (Endoskopia, lub inaczej wnikanie, jest przyrządem zaopatrzone w odpowiedni układ optyczny i własne źródło światła. Służy do oglądania od wewnątrz ciemnych przestrzeni i jam ciała). Na kongresie zdemontowano po raz pierwszy w historii endoskopu, filmy i fotografie, na których utrwalono funkcjonowanie wewnętrznych organów człowieka. W ten sposób, praktycznie rzecz biorąc, lekarz może dziś obejrzeć od wewnątrz wszystkie organa ciała ludzkiego, z wyjątkiem żyjącego serca. Ta nowa technika jest obecnie stosowana bardzo szeroko. Oprócz przewodu pokarmowego i żołądka,

Wiadomo, iż rozwijające się kraje odczuwają ostry brak kapitałów i zmagają się z bezrobociem. Nie bez kozery więc, przy stale rosnącej pomocy rządów, zwiększają one z roku na rok swój udział w turystyce światowej. W 1969 roku już blisko 16 procent ogólnej sumy dochodów z turystyki międzynarodowej przypadło na kraje „trzeciego świata”. Dochody Afryki z tytułu turystyki wzrosły w tymże roku o 20 procent, a krajów Morza Karaibskiego o 18 procent.

W Kenii hotele dla turystów pobudowano specjalnie w pobliżu wodopojów dzikich zwierząt. W nocy włącza się tam reflektory, żeby turyści mogli dowoli nasycić wzrok lwami, bawoiami i nosorożcami. Władze Nepalu prowadzą nawet stałe konsultacje z zagranicznymi zoologami, pragnąc rozwiązać wcale trudny problem; co zrobić, żeby zagraniczni turyści mogli w każdej chwili zobaczyć „dyżurnego tygrysa”...

Podobne zabiegi są niezbędne, ponieważ słońce i plaża „sprzedają” w obfitości południowi sąsiedzi przemysłowi krajów Europy — państwa śródziemnomorskie i oczywiście, sprzedają je znacznie taniej, niż odległe kraje Azji, czy Czarnej Afryki. Aby przyciągnąć klientów, trzeba jej zaproponować egzotykę.

Ale nie to jest najważniejsze. Majorka wprowadziła, i to z wielkim powodzeniem, „zimowe kanikuly” dla swych pensjonariuszy. Oto w miesiącach zimowych, kiedy tamtejsze hotele zazwyczaj pustoszeją, ich właściciele wynajmują pokoje po cenach znacznie niższych, a kompanie turystyczne pobierają ulgowe taryfy zimowe.

Tańsza obsługa podróży okazała się skuteczną bronią w walce konkurencyjnej. Przykład: blyskawiczna „kariera turystyczna” takich krajów taniej obsługi turystycznej, jak Hiszpania, nie uszła uwagi. Jej wzorem, także i inne kraje zaczęły wprowadzać ulgi dla turystów zagranicznych. Jeśli, na przykład, Włoch musi płacić za litr benzyny 140 lirów, to obokrajowiec we Włoszech kupuje ją za 84 liry.

Turystyka szybko przejmując doświadczenia innych gałęzi współczesnego przemysłu. W 1970 roku Włochy wydały na reklamy turystyczne, zamieszczono tylko na lamach tygodników i gazet zachodniemieckich, prawie milion marek. Natomiast Hiszpania wydała w tym samym roku na reklamy, proponujące wypoczynek wyłącznie zachodniemieckim turystom — milion czterysta tysięcy marek.

Boom w światowym przemysle turystycznym trwa i nie widać jego końca.

W beczce miodu trochę dziegciu

(Dalszy ciąg ze str. 1)

kształcącego aktorów specjalnie dla potrzeb tej sceny, powołanie do życia czasopisma, poświęconego problemom sztuki, zakupienie dziesięciu autokarów, które dowoziłyby na przedstawienia ludzi z peryferii Łodzi a także z terenu województwa. Wkrótce też prasa ogłosiła decyzję o nominowaniu go na dyrektora budującej się sceny. Aliści nie minęło kilka miesięcy i w prasie ukazały się komunikaty o tym, że kierownictwo Teatru Wielkiego powierzone komu innemu. Nikt jednak nie uznał za stosowne wyjaśnić K. Dejmowskiemu zmiany decyzji i przynajmniej go za to przeprosić, nie mówiąc już o społeczeństwie, które nie wiedziało, co o tym wszystkim myśleć. Z całej tej sprawy dyrektor mógł wyciągnąć tylko jeden wniosek: opuścić Łódź. I tak też uczynił.

Przykład trzeci i ostatni. Przed paroma laty przybył do naszego miasta z wizytą jeden z ówczesnych wiceministrów Kultury i Sztuki. Na spotkaniu z nim padło pytanie: dlaczego wiele wybitnych zespołów zagranicznych, przyjeżdżających do Polski, omija Łódź? Dlaczego tak się dzieje i z czyjej winy. Interpelowany odpowiedział w te słowa: wiele zespołów zagranicznych omija nasze miasto dlatego, że nikt od was nie upomina się i nie zabiega o to. Przewodniczący Wrocławia często przyjeżdża do nas, zgłasza zapotrzebowania, a zdarza się nieraz, że i pięścią w stół wali, tośmy mu dawaliśmy wszystko, czego żądał. Piszący te słowa przypomina sobie również, że kiedy już napięta była sprawa przyjazdu do Łodzi pewnego zespołu zagranicznego, w ostatniej chwili występ, ten odwołano, a wysoko postawiona osoba powiedziała: „Nie będziemy ich sprowadzać po to, żeby ograbiali nas z pieniędzy. Nasze miasto jest biedne i nie możemy sobie na to pozwolić”. Przedziwna argumentacja. Przecież miasto nie dawało na to ani grosza, bilety kupowali sobie ci, których to interesowało, a miasto miało by jeszcze profit jako, że każda impreza bywa przecież opodatkowana.

Przykłady powyższe mógłbym mnożyć gdyż było ich wiele. I wcale nie chodzi mi o to, aby „odgrywać się” na ludziach, którzy odeszli sami lub których zdjęto z zajmowanych stanowisk. Piszę o tym jedynie dla uaoocnienia atmosfery, jaka tworzona u góry, przenikała do średnich i niższych ogniw działalności kulturalnej. Przykład, jak wiadomo, idzie z góry i dla wielu pracowników tzw. niższego szczebla był on inspiracją do nieangażowania się, do nierozwijania samodzielnej inicjatywy w ich poczynaniach. Jeśli więc mówimy o kadrach w kulturze (i chyba o kadrach w ogóle), należy mieć na uwadze wszystkie kadr tych stopni: od samej góry aż do samego dołu.

Jest prawda, że proces dezintegracji środowisk twórczych i kulturalnych w Łodzi poczynił postępy. Ale, po pierwsze, nie jest to zjawisko wyłącznie nasze (podobne procesy obserwuje się również w innych miastach), a po drugie, o dezintegracji mówią najchętniej ludzie, którzy palcem nie kiwnęli, aby przyczynić się do jej usuwania. Przeciwnie: świecą nieobecnością wszędzie tam gdzie podejmuje się próby scalenia życia artystycznego. W działalności kulturotwórczej, może bardziej niż w innych dziedzinach życia, wiele zależy od ludzi, od ich zaangażowania, samodzielności, odwagi. No i, naturalnie, od znajomości rzeczy. Od czasu, gdy kierownictwo Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi objął Ryszard Stanisławski, placówka ta stała się zaczynem wielu ciekawych inicjatyw, a ostatnia sesja, zorganizowana w ramach tegorocznej Wiosny Artystycznej, dowiodła raz jeszcze, jak dużo można zrobić, gdy ma się jasno sprezywany program działania i ową pasję, bez której nie ma się co pchać na tereny twórczości artystycznej i kulturalnej.

Nie ulega również wątpliwości podbudzająca rola Wydawnictwa Łódzkiego. Dzięki jego istnieniu i coraz lepszej pracy (hamowanej, niestety, przez ograniczenia papierowe, przerobowe itp.) znacznie powiększył się dorobek twórczy środowiska literackiego i uniwersyteckiego. Trzeba w tym miejscu zauważyć, że stosunek niektórych czynników centralnych do naszego miasta był w tak niedalekiej jeszcze przeszłości, łagodnie mówiąc, co najmniej niechętny. Ostatnio wiele się w tym względzie zmieniło, nie należy wszakże sądzić, że jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej znikną od razu i na zawsze niedostatki i dysproporcje w rozwoju życia kulturalnego. Na to potrzeba czasu, wzmoczonej działalności, a nade wszystko przemyślanej polityki kulturalnej tzn. po prostu dobrego programu działania na dziś i na jutro. Zdumiewa, na przykład, fakt, że inne miasta (Kraków, Wrocław) mają i tygodniki i miesięczniki kulturalne, a nam trudno doprosić się o to, aby „Osnowa” stała się wreszcie czasopiśmie regularnym ukazującym się regularnie w ramach działalności RSW „Prasa”. Nie żądamy, aby „Odgłosy” spełniały jednocześnie rolę „Życia Literackiego” i „Kulis”. Posiadanie wychodzącego regularnie miesięcznika przyczyni się z pewnością do scalenia wysiłków wielu środowisk, w tym głównie środowiska literackiego, naukowego i plastycznego.

Ubolewamy wszyscy nad tym, że podupadło w Łodzi życie teatralne. Niedawno jeden z pracowników telewizji skarżył się (w rozmowie prywatnej), że dziś nie można by zrealizować w Łodzi takich spektakli jak

dawniej, ponieważ wielu aktorów odeszło i stan posiadania bardzo się uszczuplił. Ważna to sprawa, ale rzecz nie sprowadza się tylko do niej. Czego naszym teatrom nie dostaje, to jasno skryształizowanej myśli ideowo-artystycznej. Zamiast przemyślanego gruntownie programu, mamy do czynienia z łataniną repertuarową, w której trafiają się smakowite rodzynki, ale góruje jednak eklektyzm, przeciętność i jakże często to, co dla życia artystycznego najgroźniejsze: jadalność i nuda.

Już w najbliższym czasie zostanie ukończony i przedłożony do dyskusji raport rządowy o stanie Łodzi. Jasne, że dotyczy on przede wszystkim (czemu nie należy się dziwić) sytuacji w przemyśle, stanu komunalnego i warunków socjalnych naszego miasta. Ale znajdzie się w nim również miejsce na analizę sytuacji oświatowej i kulturalnej. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z tego, że najlepszy, uwzględniający najpełniej wszystkie elementy raport o stanie Łodzi, nie rozwiąże bolączek i niedostatków, jeśli nie znajdą się ludzie, którzy ze znanstwem, zaangażowaniem i pasją podejmą się dzieła przebudowy i naprawy. Bo wiem o wszystkim zdecydowały oni: właściwi ludzie na właściwych miejscach.

JAN KOPROWSKI



Fot. Betty Williamson

Wyniki konkursu

Ponad 500 odpowiedzi nadesłano na konkurs literacki zorganizowany przez Wydział Kultury Prez. RN m. Łodzi i WRN, Wydawnictwo Łódzkie, PP „Dom Książki” i redakcję „Odgłosów”. W wyniku losowania nagrody otrzymali:

Komplety płyt „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza:

Krzysztof Wawruszczak, Łódź, Wici 72 m. 4, Aniela Szymańska, Łódź, Bednarska 6 m. 19.

Reprodukcje „Orki” Leona Wyczółkowskiego:

Klasa VIII b Szkoły Podstawowej nr 4, Aleksandrów Łódzki, al. Wyzwolenia 3, Franciszek Krajewski, Łódź, Gdańska 31 m. 5

Encyklopedie PWN:

Alicja Simińska, Lublin, Staszica 2/2, Maria Galecka, Łódź, Flatta 19/9, Wojciech Jakubowski, Łódź, Fornalskiej 22 m. 29, Waldemar Paluszkiwicz, Łódź, Swierczewskiego 11, Maria Małycha, Wieluń, Wojska Polskiego 43

Albumy fotograficzne „Łódź”:

Ryszard Krajewski, Zduńska Wola, PKWN nr 7, Maria-Leonard Gaś, Pabianice, Fornalskiej 5 m. 4, Jadwiga Ossowska, Łódź 4, Wólczajska 21/1, Alicja Rosiak, Chrzastów, p-ta Parzęczew, pow. łęczycki, Fryderyk Puszczyk, Piotrków, Sulejowska 35, Antoni Schabowiec, Wadowice, Obr. Stalingradu 26, woj. krakowskie, Władysław Koselski, Wierzbica, pow. Szydłowiec, Kolonia 68, woj. kielecki, Marek Cybart, Rawa Mazowiecka, skrytka poczt. 43, Wanda Otto, Łódź, Kotwiczna 6 m. 4, Cecylia Ochędzan, Łódź 37, Wawelska 13/15A, m. 27.

Bony książkowe po 100 zł:

Paweł Dehnel, Łódź, Kozielskiego 41, Krystyna Sokół, Łódź, Mickiewicza 24, Irena Rogalska, Łódź, PKWN 10 m. 10, Zofia Marekiewicz, Wierzbica k/Radomia, Kościuszki 1/2, Paweł Kawka, Łódź, Zeromskiego 61 m. 14, Jan Nowak, Łódź, W. Kostrzewy 61/63, IX LO, Maria Zdziebzyńska, Łódź, Piotrkowska 105, Marian Biernacki, Łódź, Inflancka 16, Jolanta Żywa, Rawa Maz. Polna 105, Jadwiga Krawczyk, Łódź, Tuszyńska 37, Teresa Domaszewicz, Łódź, Lniana 30/49 blok 343, Stefania Rudnicka, Łódź, Flatta 22b, Helena Ciechowicz, Łódź, Konstytucyjna 9/45, Marek Bawolski, Łódź, Wrześnińska 102, m. 34, Leon Frydziński, Turek, Kaliska 45, Marek Lubnar, Zgierz, Narutowicza 1, Barbara Suwalska, Łódź, Lipowa 9/5, Anna Neiman, Zduńska Wola, Buczka 12, Janina Giska, Zduńska Wola, Łaska 71/54, Jadwiga Knorowska, Wieluń, Nowotki 21.

Po odbiór nagród prosimy zgłaszać się do księgarni Domu Książki w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 11, w dniach 12—22 czerwca br.

Z woleja

Big - beat na sportowo

Popularność boksu w naszym kraju jest tak duża, że zawodnicy uprawiający inne dyscypliny sportu, coraz bardziej zazdroścą bokserom i raz po raz usiłują pokazać, że i oni mogliby osiągać w boksie znakomite wyniki. I tak ostatnio, na jednym

z łódzkich boisk piłkarskich, byłem świadkiem pięknego, bardzo rzadko oglądanego na ringach krajowych, a nawet zagranicznych, ciosu w wątrobę, jaki zaaplikował piłkarz zespołu gospodarzy swojemu koledze z przeciwnej drużyny. Skutek był oczywiście piorunujący. Uderzony, wyliczony głośno przez znajdującą się na boksie piłkarską widownię do ośmiu, ledwie stanął na nogach. Propagator boksu nie znalazł jednak zrozumienia u sędziego, prowadzącego zawody, usunięty został z boiska, w rezultacie czego zawieszono go w prawach piłkarza na pięć miesięcy. Nie pierwszy to tego rodzaju wypadek. Na szczęście, w odróżnieniu od widowni, sędzia zareagował prawidłowo i należy żywić nadzieję, że bokerskie zapędy młodego piłkarza zostały w

porę utemperowane. Zapędy „pięściarskie” zataczają niestety coraz szersze kręgi.

W jednym z ostatnich komunikatów Polskiego Związku Sportów Saneczkowych ukazała się informacja, że członek kadry olimpijskiej, Janusz Krawczyk, otrzymał za niesportowe zachowanie się naganę z ostrzeżeniem. Nie było natomiast ani słowa o rodzaju przewinienia saneczkarza. Postaramy się więc w skrócie opisać incydent, w wyniku którego młody, 20-letni kadrowicz został ukarany. Otóż w lutym br. na mistrzostwach świata w Valdaora, Janusz Krawczyk w dyskusji z trenerem, któ-

rym była kobieta, jako ostentacyjnego argumentu użył... pięści. Po prostu pobił panią trener, swoją opiekunkę i wychowawczynię, będącą zresztą jego zwierzchnikiem w ekipie. Pomijamy tu już fakt, że była to kobieta.

Incydent miał miejsce w lutym, sprawę rozpatrzone dopiero w kwietniu, gdyż kierownik ekipy nie przekazał jej do rozpatrzenia zarządowi w obawie, że mogłoby to wpłynąć ujemnie na psychikę zawodnika, który przecież musiał reprezentować Polskę na różnych zawodach za granicą.

Krawczyka „ukarano” naganą z ostrzeżeniem, argumentując, że na drugi dzień

przyniósł kwiaty pani trener, co miało oznaczać wyciągnięcie ręki na zgodę. Serce kobiety okazało się miękkie na taki dowód skruchy, sprawę puszczono w niepamięć, Krawczyk jest nadal członkiem kadry olimpijskiej (!?), nad którą opiekę sprawuje m. in. pani trener.

Takiego faktu i takiej nań reakcji chyba w chlubnej historii sportu polskiego jeszcze nie odnotowano. Przecież rzecz miała miejsce na zawodach za granicą, przecież uczynił to człowiek, który reprezentował barwy naszego kraju. Sprawa kwalifikuje się do rozpatrzenia nie tylko przez zarząd PZSSan., ale do

sądu powszechnego. Gdzie tu co miało oznaczać wyciągnięcie ręki na zgodę. Serce kobiety okazało się miękkie na taki dowód skruchy, sprawę puszczono w niepamięć, Krawczyk jest nadal członkiem kadry olimpijskiej (!?), nad którą opiekę sprawuje m. in. pani trener.

Na te wszystkie pytania nie oczekujemy odpowiedzi od działaczy sportu saneczkarzkiego. Oni już swoje powiedzieli. Odpowiednie władze sportowe i chyba nie tylko sportowe powinny się tą sprawą zająć i wyciągnąć właściwe konsekwencje. Tego wymaga dobre imię sportu.

MIECZYSLAW STOLARSKI

BOKS-PIĘKNY, MĘSKI SPORT?...

Dalszy ciąg ze str. 1

przez sędziego) przytomność, a stracił ją na skutek szoku, wstrząsu, spowodowanego dotkliwym ciosem. Ale to tylko może przypuszczenia.

Zobaczmy, co mówi o boksie Słownik Wyrazów Obcych:

„Boks — rodzaj sportu, którego zasadą jest uregulowana przepisami walka na pięści między dwoma zawodnikami o podobnej wadze ciała”. I zobaczmy jeszcze, co to jest nokaut: „Nokaut, od „knock” — bić i „out” — na zewnątrz — decydujący cios w boksie, eliminujący przeciwnika z dalszej walki, zachodzi wtedy, gdy powalony przeciwnik nie może powstać przed upływem 10 sekund. Nokaut techniczny — sytuacja w boksie, gdy przeciwnik z innych powodów, niż otrzymanie decydującego ciosu, nie może dalej walczyć, np. po roześcięciu brwi, na skutek silnego krwawienia z nosa itp. Orzeczenie nokautu technicznego zależy od decyzji sędziego ringowego”.

Te określenia ze Słownika Wyrazów Obcych cytujemy gwoli sumienności, znaczna część wypowiadających się bowiem w naszej ankiecie doskonale wie, co to jest i boks i nokaut.

☆

KAROL OBIDNIAK — PISARZ, DRAMATURG

Lubię boks techniczny, a nie znoszę boksu siłowego. Jest coś brutalnego w boksie. Dlaczego ludzie boksują? Mnie się zdaje, że w każdym człowieku tkwią resztki atawistycznej brutalności, która nie znajduje ujścia w normalnym życiu na co dzień, boks jest więc wentylem, uwalniającym nas od tych elementów w naszej psychice. Taki boks zaraża innych swą brutalnością, przestaje być wychowawczy...

DZIENNIKARKA, MATKA DWÓCH SYNÓW:

Ten sport jest, według mnie, ohydny, brzydki i niebezpieczny, rozbudza na widowni żądze krwi. W czym młodzież powinna się wyżywać? Dla młodzieży najlepsze byłoby pływanie — wszechstronnie rozwija organizm. Jest to sport znakomity, koryguje wady postawy, na które cierpi przecież w naszym kraju dość znaczna część młodego pokolenia.

MIECZYSLAW KWINKOWSKI — PRACOWNIK TEATRU POWSZECHNEGO

Sport męski, ale niebezpieczny. Czy nie można by dokonać takiej zmiany przepisów w boksie, aby był bardziej „ludzki”? Aby nie zdarzało się to, co zdarzyło się w Elku, gdzie stracił życie młody chłopak. Wydaje mi się, że walka powinna się toczyć tylko na punkty, a nie na fizyczne „wykończenie” zawodnika. W szermierce np. wymyślono odpowiednie przepisy i walka jest o wiele piękniejsza, szlachetniejsza.

KONSTANTY MACKIEWICZ — ARTYSTA - MALARZ

Boks? Chciałbym zobaczyć, jak by się czuli kibice, gdyby po walkach na ringu zawodnicy starli się jeszcze raz właśnie z nimi — z tymi, którzy wołają i wrzeszczą, krzyczą: „bij — zabij”. Dopiero po tym laniu można by zapytać kibiców, co

myślą o boksie. To nie sztuka przyglądać się, jak ktoś otrzymuje ciosy, chwile się ślania, wali na deski ringu, broczy krwią, czy nawet traci przytomność. Gdyby wprowadzić jako zasadę, że zawodnicy wybierają sobie do następnych walk również kibiców z widowni, sądzę, że z czasem na boks przychodziliby jedynie wyjątkowo silni młodzi ludzie i to ludzie obdarzeni poczuciem ryzyka...

PRZEDSTAWICIEL MŁODZIEŻY SZKOLNEJ, CHŁOPIEC LAT 14:

— O jaki boks pan pyta, o amatorski czy o zawodowy?

— O taki, jak jest uprawiany w Polsce...

— To powiem panu, że to przyjemny sport dla ludzi, którzy umieją walczyć i robią to bezpiecznie. Ale werdykty nie zawsze są słuszne, a bezpieczeństwo tego sportu nie jest dobrze unormowane. Moi rówieśnicy myślą różnie. Jedni nadal marzą o karierze bokserkiej, inni już się z tego wyleczyli, zrazili się szybko, po kilku ciosach w ucho. W szkole dużo mówi się o boksie, jak o męski sport, interesujemy się również wszystkimi meczami międzynarodowymi.

CZŁONEK PREZYDIUM DZIELNICOWEJ RADY NARODOWEJ:

Sam trenowałem w młodości, a poza piłką boks jest dla mnie osobiście drugą bardzo widowiskową dyscypliną sportową. Ale regulamin... Mam zastrzeżenia do regulaminu, bo powinien wykluczać brutalność. Dlatego opowiadam się za boksem technicznym, gdyż brutalność odpycha. Tymczasem kadra sędziowska nie zawsze stoi na wysokości zadania. Niektórzy sędziowie karygodnie wprost dopuszczają do rozlewu krwi, a nawet i do zbrodni na ringu.

DYREKTOR DUŻEJ FABRYKI WŁOKIENNICZEJ:

Jestem przeciwnikiem obecnego boksu. Zasady regulaminowe powinny być bardziej dokładne, bardziej ścisłe, powinny one wykluczać każde uderzenie siłowe — tylko w ten sposób boks mógłby stać się sportem bardziej ludzkim niż jest obecnie. Może zaprowadzić ochronne kaski, może trwale dyskwalifikować za użycie brutalnej siły? Niestety, w całym świecie występują podobno tendencje w kierunku boksu właśnie siłowego. I to mnie martwi, nie dlatego, oczywiście, że miałbym zamiar potrenować boks czynnie. Robiłem to już dawniej, a nos mam złamany do dziś...

ZBIGNIEW SKIBICKI — DZIENNIKARZ SPORTOWY

Boks można obronić, powinien być uprawiany pod warunkiem odpowiedniego zabezpieczenia walczących. Zarówno treningi, jak i walki powinny odbywać się w odpowiednich kaskach i rękawicach. To zabezpieczaloby przed urazami głowy, które potem, jak wiemy, ujemnie wpływają na dalszy rozwój młodego organizmu. Niestety, utarł się jakiś zły nawyk boksowania wyłącznie na głowę — trzyma się go jakiegoś 85 proc. wszystkich pięściarzy. Tymczasem ciosy na żołądek są również skuteczne, że przypom-



nę walkę Koczwińskiego z reprezentantem Francji, Esquidy, a przy tym nie powodują tak szkodliwych dla pięściarza urazów jak wstrząsy mózgu, spłaszczono małżowiny uszne, obrażenia głowy itp.

DZIENNIKARZ TV:

Uważam, że jest to sport, który wraz z rozwojem świadomości społecznej musi ulec likwidacji. Boks czyni zło nie tylko tym, którzy go uprawiają, ale i tym, którzy go oglądają, którzy jako widzowie uczestniczą w tych pseudosportowych zawodach. Ludzie na widowni nieraz nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że obserwując cały brutalizm walki, rozwijają w sobie bardzo niezdrowe instynkty.

TADEUSZ AJNENKIEL — TECHNIK DENTYSTYCZNY

Mój stosunek do boksu jest negatywny. Zawodnicy nie zdają sobie sprawy, że po iluś tam walkach zostanie w nich piętno na całe życie, np. skutki wstrząsów mózgu. Nie ma żadnej przyjemności w oglądaniu, jak jeden drugiego bije. Byłem w obozie i wszelkie użycie siły w stosunku do człowieka odpycha mnie, budzi wstęś.

EUGENIUSZ KAMERSKI — LEKARZ

Jestem raczej przeciwko boksovi, a kiedy czasem mam okazję obejrzeć mecz

bokserki w telewizji, dochodzę do wniosku, że to straszne. Miałem już kilku pacjentów, byłych bokserów, którzy rozstali się z boksem 20—25 lat temu. To ludzkie ruiny. Urazy mózgu zostawiają trwałe ślady, a ci ludzie, formalnie jeszcze młodzi, bo 40- czy 50-letni, biologicznie sprawiają wrażenie starców. Cierpią, po tylu latach od zakończenia kariery bokserkiej, na mniejsze lub większe odchylenia od norm psychicznych. Dodajmy, że wstrząsy mózgu nawarstwiają się, tym większe i groźniejsze są skutki po latach. Nieraz w takich przypadkach mamy do czynienia z powstawaniem w mózgu tkanki bliznowatej i zanikaniem szarych komórek. Są to zmiany wsteczne w układzie nerwowym, zmiany na niekorzyść.

☆

Gdy zebrałem te wypowiedzi, złapałem się za głowę. Nigdy bym nie przypuścił, że boks może być tak niepopularny wśród tzw. normalnych ludzi. Dodajmy, że żadnego z zapytywanych nie sugerowaliśmy, nie nastawialiśmy, nawet nie powoływaliśmy się na ową notatkę o tragicznej śmierci pięściarza z Elku. Jak się okazało, czytało ją tylko dwóch uczestników naszej ankiety. Niektórych nazwisk nie publikowaliśmy, — na prośbę udzielających wypowiedzi.

FELIKS BĄBOL



Fot. A. WACH

Listy DO REDAKCJI

PANIE REDAKTORZE!

Ze zrozumiałą u łodzianina uwagą śledzę przebieg prasowej dyskusji nad przyszłością ulicy Piotrkowskiej i uporządkowaniem placu Wolności. Czuję się także poniekąd jej zagajaczem jako autor eseju „Ulica ziemi obiecanej”. Stanowi on wstęp do albumu Wacława Kondka, poświęconego naszej principalnej ulicy i, niezależnie od swych celów informacyjnych, posiada charakter publicystyczny.

Pozwalam więc sobie zabrać w tej sprawie spóźniony głos. Skłoniły mnie do tego niektóre

re enuncjacje prasy codziennej, z których wynika, że „unowocześniacze” placu Wolności i partii przyległych wciąż jeszcze nie zrezygnowali ze swych pobożnych zamiarów. Poekscytował mnie również dość znamienity dla pokutujących jeszcze opinii o ulicy Piotrkowskiej akapit w liście pana Leona Bukowieckiego, wydrukowanym w numerze 19 (703) Waszego pisma. Solidaryzuję się z utrzymanymi w eleganckim tonie końcowymi stwierdzeniami wspomnianego listu pana Bukowieckiego. Natomiast dziwi mnie, że historyk sztuki reprezentuje pogląd typowy skądinąd dla ludzi nie posiadających wiedzy i wyobraźni historycznej — jakoby istniały ponadczasowe, sprowadzające się do dopełnienia paru prostych warunków wyróżniki piękna stylu i jego zaprzeczenia. „Oczywiście, nie chcę i nie mogę mówić — pisze pan Bukowiecki — o takiej czy innej „zabytkowej” ważności tak długiej, secesyjno-eklektycznej ulicy (Piotrkowska — przypis mój T. Ch.) i wcale nie wzywam do jej zniszcze-

Mam ogromne trudności w sensownym ułożeniu deklaracji do Waszej akcji, noszącej hasło: „Bołaczki mojej dzielnicy, mojego zakładu, moje własne”. Gdybym chciała o wszystkich bołaczkach napisać — miałbyście kilka numerów „Odgłosów” z głowy. Postanawiam więc pisać o bołaczkach mojego osiedla, w nadziei, że — jak zapowiadacie w inwokacji — wypowiedź zachęci do refleksji i... działania. O działanie bowiem tu chodzi. O działanie od początku nie przemyślane, a raczej przemyślane z określonego punktu widzenia, sprzeczne z sensem i logiką, uderzające nawet w stosunki międzyludzkie...

☆

Siedzę w mojej klatce, nazwanej M-4 Klateczka żręczna, dwuprzędziowa, a każdy przedział nazywa się pokojem. Jest jeszcze przedział-kuchnia i przedział-

W ośmiu wielkich blokach, ściśniętych koszarowym systemem, ulokowano nas w życiu stałym, nietajnym, pozbawionym intymności przez oszczędną technologię budownictwa. Każdy intensywniejszy ruch w jednym mieszkaniu toczy się lawiną odgłosów po wszystkich piętach i mieszkaniach.

Zżywamy się z tymi bołaczkami, ale nie wszędzie się to udaje. Wybuchają krótkie śpięcia — klótnie, awantury...

Życie toczy się także na zewnątrz. Przez całą zimę — jak wszyscy „zasiedleni” i „zasiedlani” brnęłam przez doły i wykroty nieustającego placu budowy. Przez całą zimę — jakże lekka — obserwowałam trud wymigiwania się od pracy załogi wykonawców. Przez całą wiosnę, do dnia dzisiejszego, obserwuję ten sam styl w porządkowaniu terenu osiedla.

Miało być wszystko gotowe na wiosnę. Rada Osiedla w maju

do władz spółdzielni i władz miasta z zapowiedzią, że jeżeli śmietniki nie zostaną przeniesione z centralnych punktów — lokatory złożą swe sły w czyn społeczny i rozbrązają źródła zarazy. To będzie chyba konkretne działanie.

Podobne działanie, ale w sensie pomocy władzom — deklarowano w piśmie do DRN-Srodmieście w sprawie uporządkowania ulicy Matejki, która stanowi obraz nędzy i rozpacz. Rada potrzec miesięcy odpowiadała, że... radzi nad tym.

☆

Jest wieczór. Wychodzę na balkon. Parno. Głęboki wdech — spaliny! 20 aut stoi jedno przy drugim naprzeciwko bloku. Kilka metrów przed nim. W ciasnej przestrzeni spaliny zapuszczanych motorów, tłoczone przez rury wydychowe — trafiają wprost w otwarte okna mieszkań. CO miast tlen. Nawet kwiaty na balkonach pachną spalinami. Zamknąć okna? Można się udusić w mieszkaniu. Niech więc zostaną otwarte. Wylącam radio, bo słyszę dziennik telewizyjny u sąsiadów. Głos spikera powielany jest przez dziesiątki telewizorów. Stereofonia osiedlowa. Na dodatek hałasują dzieci. Biedne istoty, zagubione pomiędzy śmietnikami, autami i trzepakami, pedzą swój rozbrzykany żywot na betonowych ulęczkach osiedla, atakując mimowolnie trawiste obrzeża. Projektant nie uznał ich praw do przestrzeni, do boiska, lodowiska, placu do gry w kłipe, w piłkę. Wtło-

Bołaczki mojej dzielnicy mojego zakładu moje własne

czył jeszcze jeden blok w generalną ciasnotę.

Będziemy narzekać na te dzieci, że psocą, że rysują brzydkie rzeczy na murach bloków, że tulką szyby i deptają anemiczne trawniki. A gdzie się mają podziać? Brak poszanowania ich naturalnych potrzeb zrodziło społeczne gesty. Potem się będziemy zastanawiać, skąd się to bierze: dzieci wychowane w nowych warunkach, w nowych osiedlach, w

poczuciu ładu i porządku... To jest porządek formalny, a właściwie pseudoporządek, którego wykładnikiem są betonowe płyty, ułożone wokół kwadratów i prostokątów rysujących się niepewnymi, pretensjonalnymi formami — ciągle jeszcze nie sprecyzowanymi w kształtach i funkcjach.

☆

Myję okna. Sadze mażąc się pod plynem do czyszczenia. Sadzy są całe pokłady. Wcisną się owa czerń w każdą szczelinę szwedzkich konstrukcji okiennych. Przenika do mieszkań. Dzień i noc dymy komin „Feniksa” — fabryki naprzeciwko osiedla. (Dymy z drugiej strony niski komin Spółdzielni im. 19 Stycznia. Tylko z cmentarza nie plynę oblok truciźni). W zacienianym sę formalnie kręgu walki o czyste powietrze w mieście, w nastroju niepokoju o biologiczne zagrożenie chemicznymi truciźnami — dławimy się kłębami sadzy i obliczamy, ile jej spada na jeden metr kwadratowy. O ile się kurczy pojemność naszych płuc. A „Feniks”, jak inne zakłady — dymi...

☆

Nowe osiedle. Rozbudowa trwa. Jeszcze dwa bloki buduje się w pobliżu ul. Tanka. Jeszcze większa będzie ciasnota, a do źle zaopatrzonych sklepików ustawia się kolejki o wężowej długości. Piętno nowości, lecz nie nowoczesności, długo wypadnie nam znośić. Wtęu z nas nie doczeka może zakończenia „cyklu budowy”. Chcielibyśmy jednak pozbyć się męczącego poczucia bezradności i nerwowego napięcia z powodu spraw, które są do załatwienia „na wczoraj”, a które nie leżą w mocy naszego działania. A poza tym — dajac świadectwo prawdziwe — chcemy ostrzec przed następnymi błędami.

ZOFIA TARNOŃSKA
sekretarz Rady Osiedla
Matejki

OSIEDLOWA RZECZYWISTOŚĆ

przedpokój, tudzież przedział-lazienka. Wszystko razem rozprzeszerzenia się na 45 metrach kwadratowych, a wysokością ostrzeżę przed uzyskiwaniem przez młode pokolenie wzrostu ponad przeciętność. A łazienka! — toż to cud ekonomiczny ruchów! Siedzę sobie np. na — no, po prostu, na sedesie. Nogi kładę do wanny i moczę je w soi ciechocynskiej, a ręce zatrudniam przepierką w umywalce. Albo w kuchni: mam stołek obrotowy przy stole-ladzie. Obrót w lewo — obieram kartofle, wysuwając kosz z obudowy zlewozmywaka i wrzucam do garnka, s.ojącego na gazowej kucence. Obrót w prawo — wyjmuję talerze do szafki; pod ładą-stołem i nakrywam do obiadu. Znow obrót w prawo — sprzątam talerze do zlewozmywaka. Chyba jednak nie mam racji, kwestionując sens i logikę takiego przestrzennego zagospodarowania wnętrza. Cztery osoby, żyjące w tych kłatkach, mogą się zniecierliwić wzajemnie, ale żyć jakoś muszą.

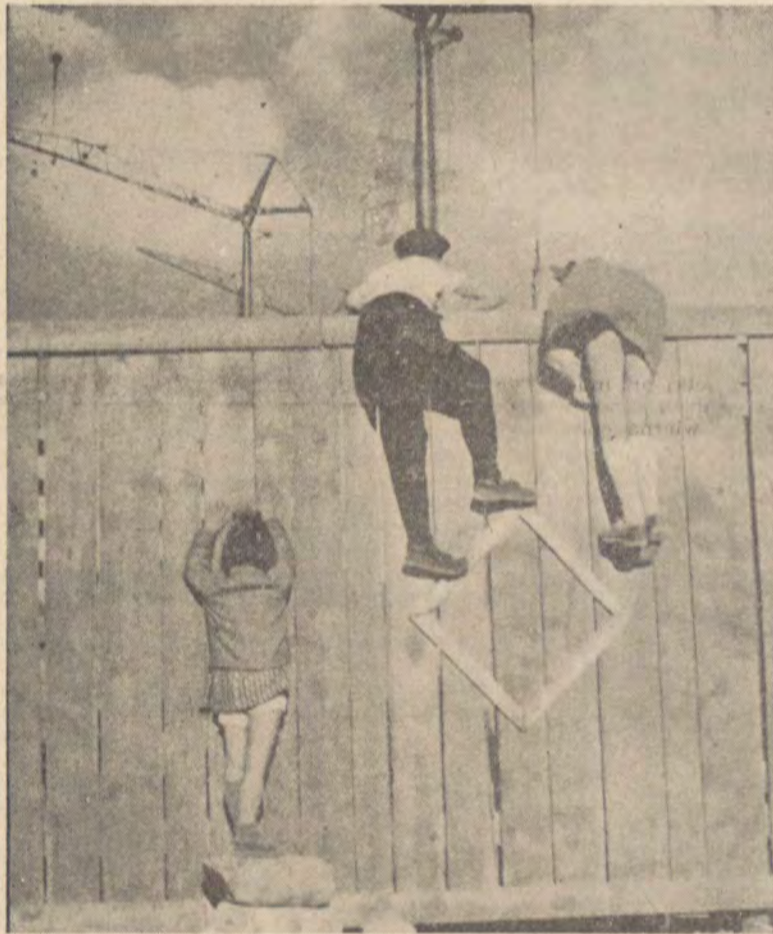
Z okna pokoju z balkonem patrzę na szczytową ścianę bloku nr 11. Kiedy patrzę z drugiego przedziału mieszkania — na stronę północną — mam przed oczyma cztery piętra bliźniaczego budynku, oddalonego od mojego o kilkanaście metrów. Powie-dzieć Wam, co robi sąsiadka z przeciwka? Kładzie do garnka gicz cielęcą. Za chwilę smakowity zapach wypelni moją kuchnię, bo wiatr wieje od cmentarza, czyli od północy. O, właśnie, — sąsiadka otwiera okno w kuchni. Blok jest długi — cztery klatki. Moje oko i ucho sięga wszędzie.

(według harmonogramu) powinna była brać udział w kontroli wykonania kosmetyki osiedla przez wykonawcę. Ha, ha, ha — kogo i jak tu sprawdzać w tym generalnym bałaganie?...

☆

O piątej rano osiedle budzi się gwałtownie. Bez budzików. Przyjeżdża woz-śmietniczek i zaczyna się opróżnianie pojemników z tłuczeniem metalu, aż huczy. Śmietników jest dużo. To duma, chluba naszego osiedla. „Urządzenia” te usytuowano w najbardziej reprezentacyjnych punktach. Szczyt nowoczesności! Cementowy przewiewny plot obejmuje pojemniki. W pojemnikach fermentuje przez cały dzień cały stos nieczystości. Upał jest katalizatorem w procesie gnicia.

Śmietniki, a obok nich — trzepaki, stanowią tabu. Inwestor zaakceptował „postępowy” projekt. Projektant nie myślał długo nad sposobem usuwania nieczystości z mieszkań. Oparł się podobno na doskonałości norm san-epid, które to normy ustalają, że 10 metrów odległości otwartego śmietnika od okien i drzwi mieszkań to „w sam raz”. Trudno uwierzyć w taką bzdurę, która w życiowej praktyce równa się właśnie sanitarно-epidemiologicznemu zagrożeniu. Dyskusje z Zarządem Spółdzielni są równie jałowe, co nieskuteczne, żądania — bezcelowe. Mieszkańcy najbardziej zagrożeni fetorem chodzą po osiedlu i zbierają podpisy przeciwko śmietnikom. Działają. Z jakim skutkiem? Rada Osiedla podejmuje inne działania: pisze pisma



nia (...). Jednakże naprawdę nie mówny o urodzie, bo tu już we mnie dusza historyka sztuki się wzdryga" (...). „Style są piękne, gdy są autentyczne. W przeciwnym razie musielibyśmy bronić „gotyckich” kościołów w Żyrardowie, Kutnie, Radomiu, Siedlcach, czy wreszcie koszarów św. Floriana w Warszawie”. Po pierwsze wymieniona przez pana Bukowieckiego secesja jest stylem najbardziej autentycznym. Po drugie, postponowany przezeń „gotyk” jako zjawisko stylistyczne nie wymaga aż obrony. Możemy mówić we własnym imieniu, że ten styl nam się podoba, a inne nie. Ale, kiedy chcemy zachować obiektywizm, musimy myśleć historycznie. Takie już prawa świata. Choćby tylko przekartkowanie „Historii estetyki” Tatarakiewicza wykazuje niezbicie, że pojęcie piękna ma charakter wybitnie relatywny, ulega ustawicznemu, i to krańcowym, przemianom i nie poddaje się ponadczasowym kryteriom, a także „wzdraganiu się” czy zachwytem konserwatorów, przypisujących sobie atrybut fe-

rowania wyroków ponadczasowych, a w rzeczy samej — jedynie wyznawców estetyki panującej w latach ich młodości. Niechże więc będzie przykładem na to ów nieszczęsny „gotyk”. Pierwszy (romantyczny), czy drugi (z przełomu XIX i XX wieku neogotyk) ma takie same prawa w historii architektury, co wszystkie inne kierunki, z dodatkami czy bez dodatku formantu „neo”. Ow drugi neogotyk był kierunkiem ogromnym w swoim czasie rozpowszechnionym, zwłaszcza w budownictwie sakralnym. Listę podaną przez mego preopinanta można dowoli rozszerzać, gdyż jest wściekle długa: np. kościół NMP w Łodzi, w Białymstoku, w Liwie, w Wawolnicy, w Dębnie Wielkim. Większość ich projektował Józef Pius Dziekoński, uważany wówczas za jednego z najwybitniejszych architektów w skali europejskiej. Zrealizował on kilka dziesiątków owych neogotyków, a projekty te uzyskały chętną aprobatę inwestorów, fachowych komisji i entuzjastyczne oceny prasy.

Wracając wreszcie do ulicy Piotrkowskiej, nie będzie chyba od rzeczy stwierdzić, że znaczną większość jej kamienic i pałaców projektowali i wybitni architekci swojej epoki. Projektowali, gdyż inwestorzy mogli sobie na odpowiednio wysokie honoraria dla nich pozwolić — byli, jak wiadomo, majątni. Nie trzeba nadzwyczajnego daru przewidywania, by przepowiedzieć — w tym, być może, będziemy zgodni z panem Bukowieckim — że przyjdzie czas, gdy konserwatorska i obiegowa opinia któreś z przyszłych wycinków lat, z kolei odmówi, przejsiowo naturalnie, miana architektury również i pudełkowcom i wysokościowcom naszej, nie na wiek wieków przecież, nowoczesnej epoki. I tu sądzę, że gdy w ferworze totalnego (bo zawsze jakos ma ono charakter totalny) wybrzydzenia na owe „starocie” odmówi ona wartości artystycznych wznoszonym obecnie zespołowi budynków Spółdzielczego Domu Towarowego na rogu Piotrkowskiej i Mickiewicza — będzie rów-

nie nieobiektywna i niesprawiedliwa.

z poważaniem
TADEUSZ
CHRÓSCIELEWSKI

☆ * ☆

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

Do 1961 roku władze miejskie, zajęte rozbudową nowych osiedli mieszkaniowych wokół starej Łodzi i planami perspektywicznymi, nie przykładały żadnych starań i uwagi do starych, ciekawych na skalę ogólnopolską, obiektów zabytkowych. Przykład: trzeba było walki w prasie i radio, i interwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki, aby zachować i zniszczenia — bramę fabryczną „Beczki Grohmanowskie” z ul. Targowej; bramę Poznańskiego, czy płaskorzeźbę z pomnika Kościuszki z 1930 r.; o dewastacji i wywiezieniu pięknych, kryształowych luster z pałacu Kona z ul. Targowej... lepiej nie mówić! Obecnie trwa walka o rekonstrukcję klasycystycznego Placu Wolności... na razie opinia społeczna wywal-

czyła już... sam kształt placu (oryginalny, ośmioboczny) — będzie zachowany. Co dalej, nie wiadomo.

Jeszcze przed powołaniem miejskiego urzędu konserwatora zadano w TPL o oznakowanie pierwszych 10 obiektów zabytkowych Łodzi. Później oznakowano dalsze. Niestety, od stycznia br. spis obiektów zabytkowych nie był publikowany ani w Dzienniku Urzędowym PRN m. Łodzi, ani w prasie łódzkiej.

Skutki braku usankcjonowania tego spisu — nie dały o sobie długo czekać: rozebrano zabytkowe, klasycystyczne kamienice mieszczanskie na Placu Wolności; najpierw pozostawiono je bez konserwacji i remontów, a potem rozebrano, bo stan techniczny był słaby. Rozebrano kilka starych, sprzed 1860 r. kominów fabrycznych, związanych przecież z rozwojem techniki i przemysłu włókienniczego, rozebrano domek osadnika tkackiego z 1825 r. przy ul. Ogrodowej, mimo, że figurował w rejestrze zabytków poprzedniego konserwatora. Podobnie roze-

brano dworek klasycystyczny Sztajnera na Piotrkowskiej, tenże decyzją Ministerstwa Przemysłu Lekkiego.

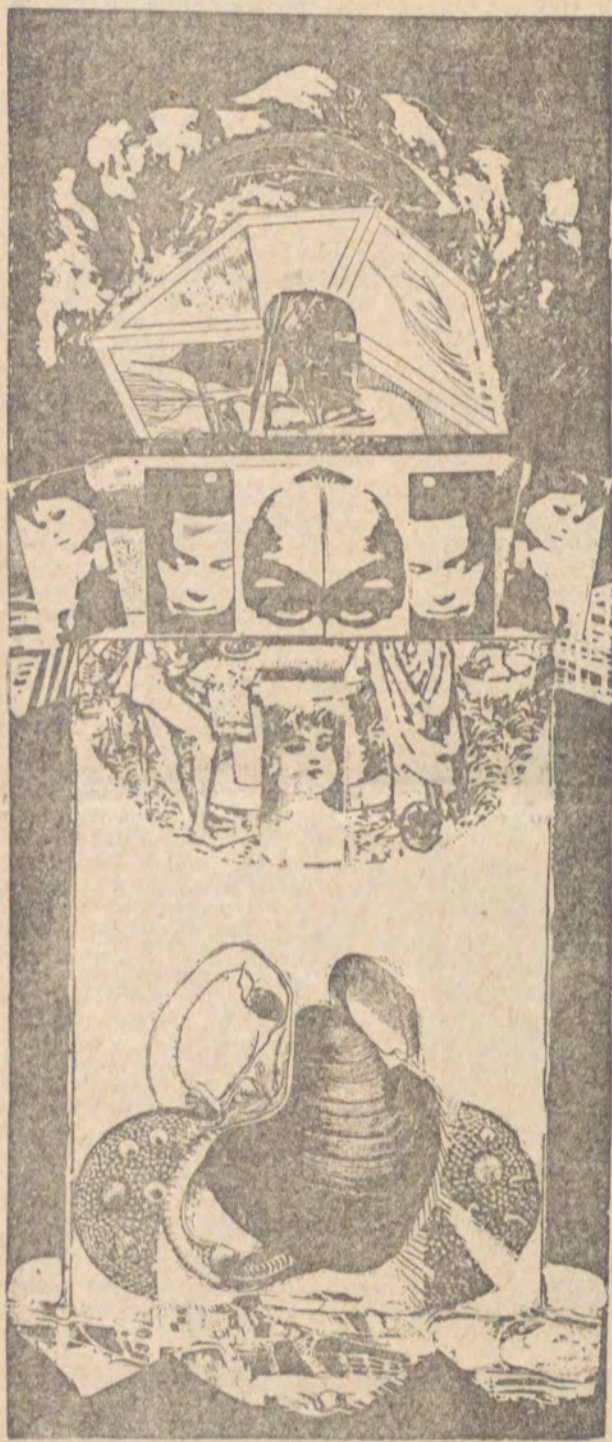
W niedalekiej przyszłości każdy obiekt zabytkowy Łodzi a jest ich blisko 300, winien mieć swego społecznego opiekuna i obrońcę. Opieką wreszcie, powinny być objęte nie tylko stare zabytki, ale również obiekty i miejsca związane z najnowszą historią Łodzi. Na przykład z lat 1939—1944, a więc fabryki i domy, gdzie były obozy przesiedleńcze dla polskiej ludności cywilnej, miejsca martyrologii Polaków, obozy jeńców wojennych polskich, radzieckich, angielskich i francuskich, domy i miejsca związane z całym polskim ruchem podziemnym, walczącym z hitleryzmem — miejsca tajnych zebrań, drukarni, miejsca kaźni gestapowskich, więzienia hitlerowskie, miejsca związane z walką i dywersją AL, GL, ZWZ i AK. Winno być także zaakcentowane miejsce getta żydowskiego w Łodzi — ku przestrodze przyszłym pokoleniom.

ZDZISŁAW KONICKI

VI Festiwal

PONIŻEJ DRUKUJEMY WIERSZE WYRÓŻNIONE NA „TURNIEJU JEDNEGO WIERSZA”.

RÓWNIEŻ DLA ZADOKUMENTOWANIA ATMOSFERY NA VI OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU POEZJI W ŁODZI (PATRZ: ARTYKUŁ K. FREJDLICHA PT. „W GAŚCZU POKOLEŃ”, ZAMIESZCZONY W NUMERZE POPRZEDNIM „ODGŁOSÓW”) PUBLIKUJEMY FRAGMENTY WYSTĄPIEŃ KOLEJNYCH MÓWCÓW W DYSKUSJI NAD REFERATAMI: M. PIECHAŁA, M. SPRUSIŃSKIEGO I K. GAŚIOROWSKIEGO. ACZKOLWIEK WYPOWIEDZI TE NIE ODDAJĄ



Andrzej Grun — „Laurka okolicznościowa”
(grafika)

CAŁOKSZTAŁTU PROBLEMATYKI, ZAMANI-FESTOWANEJ NA FESTIWALU, STANOWIĄ JEDNAK, NASZYM ZDANIEM, DOBRE WPROWADZENIE W ATMOSFERĘ TEGO ZJAZDU I SĄ REPREZENTATYWNE DLA NASTROJÓW NURTUJĄCYCH WSPÓŁCZESNĄ POEZJĘ POLSKĄ. WYPOWIEDZI TE NIE BYŁY AUTORYZOWANE, ZA CO Z GÓRY PRZEPRASZAMY ICH AUTORÓW, SĄDZIMY JEDNAK, ŻE PRZYDAJE IM TO JESZCZE WALORÓW AUTENTYKU.

REDAKCJA



JERZY GORZAŃSKI

II nagroda

Na śmierć rodziny Lipów

Jakże trafne jest stwierdzenie:
chłop zawsze zrozumie Artystę.

Na targu końskim —
W gospodzie wiejskiej nad ćwiartką —
Przy traktorze i plugu —
Przy kosie i snopowiązałce —
Dłonie chłopie składają się do oklasków.
Same.
I same się rozkładają.
Z tego właśnie mamy pejzaż rustykalny:
żurawie, antenty, konie, motory, świętiki,
rowery, drzewa, krowy i piach.
To najlepsza publiczność.
Dniem i nocą, na wiosnę i pod jesień.
W zimę szczególnie.
Składają ręce i rozkładają.

Z tego właśnie mamy obraz duszy wrażliwej,
często nie wiedzącej, w sieni przyczajonej,
jakby gotowej do podjęcia misji albo czynu.
Co za pole do popisu dla Artysty!
To walenie w zgrubiałą skórę dłoni —
odgłos bicia dzwonów.
To nasłuchiwanie wiatru —
trzępot ksiąg pod strzechą.
To wpatrywanie się w ogień —
myśl lekka za morze.

A między dłonie — zważywszy nastroje, niepewność
i nudę —
diabeł niekiedy wkłada przyciężką siekiere.
Milkną oklaski.
Dłonie w rzeczy kotwiąc —
w ciemnym mule pogrążają wdzięk ziarna,
łagodność pagórka.
Ku ziemi się chylą uroki bycia sobą.
Artysta to czuje, zna sekrety mózgu.
Cofa się w poplochu — zasłania barbarzyństwem
chwili.

Między dłońmi rzecz się pojawiła!
Chłop rzeczy nie puści.
Aż rzecz w sen przemieni, w krew i w drobne kości.
Do końca pedantycznie, jak w niedzielnym rożańcu,
każdą głowę zmówi, przez dłonie przetoczy.

Z tego mamy właśnie słońce zachodzące —
twarde jak metal, napięte jak żyła.
Gdy spada z wysokości na dachy sąsiada —
myślimy: to jest zjawisko częste i groźne zarazem.

Tak właśnie u Artysty czasami zaskoczy szuflada.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

III nagroda

Puszkin

Żył w Rosji, tęsknił za Afryką,
ciągle zsyłany uciekał przed sobą,
buntując się przeciw carowi
był zbyt słaby, żeby drwić z niego.
Wstydył się swych grubych warg,
płaskiego nosa, skreślonych włosów,
jakby z nienawiści do siebie
uwielbiał wytworne damy.
One szalały za nim,
bo podobno wzruszał się...

Alkohol, karty, bezsenność, fajka;
wiedza, jak i kobietami, nie gardził.
W końcu znudziło mu się normalne życie,
ożenił się, zaczął popadać w długi i obłąd.

Całe życie śpieszył się do śmierci
jambem cztermiarowym.
jechał szybko, ale rytm zmieniał,
jakby uwodził, zwodził...

Petersburg był zawsze ten sam,
dobrze ułożony,
nieco usztywniony, klasyczny,
w garniturze granitowym
odprawiał go na północ.

I nagle poczuł, że zimno,
że Newa drwi białym dreszczem
— w lodach pęka Sybir dekabrystów.

Wstąpił do cerkwi,
ale Bóg nie poznał go.

Znów jechał dalej. Wreszcie przystanął.
Sprawdził, czy wszystko zabrał ze sobą.
Mógł przystąpić zarówno do życia jak i śmierci.
Odmierzył kroki. Upadł.

I wtedy przypomniał sobie
o tym,
że poetą bywał — a to szaleństwo
tak mocno ukochać własną kłeskę.

sierpień 1969



ANDRZEJ JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

III nagroda

Azyl

Tłum umundurowany słońcem
tłum umundurowany tańcem
tłum umundurowany w zachwyt
i w żądze
w pośpiechu
w niepokoju
w zagrożeniu
w wojnę
gdziekolwiek spojrzeć — biegał
niosąc wiatr na plecach
biegł
w ogromnym cieniu mojej ciężkiej myśli
kierującej wszystko bez przerwy w głąb ziemi
biegł
w ciężkim cieniu
przed którym sam próbuję uciekać
w góry hałasu
w doliny ciszy
żeby ostatecznie nie daremnie się schronić
przed własną myślą
ciągnącą w głąb ziemi
w jedynie dzięki tej myśli nieistniejącej
spokojne cmentarze
kwitnące w wyobraźni mojej nieżyjącej Matki
w tej najbardziej bezpiecznej z nieistniejących
przestrzeni.

Fragmenty dyskusji

KRZYSZTOF GAŚIOROWSKI
(WARSZAWA)

Wydaje mi się, że wszystkie spory, jakie się toczą w dzisiejszej literaturze, są spórmi drugiego już i trzeciego nawet stopnia. Nasze klótnie, na przykład, między lingwistami, surrealistami itp., taką czy inną postawą, są dokonywane przy założeniu, że fundamentalne pytania o literaturę zostały już rozstrzygnięte. Rzeczywiście, bywało tak niekiedy w okresach o jakichś zamkniętych kulturach, które posiadały pewien zespół wartości, swoje dzieła zbiorowe, gdzie istniała przemilczana suma wiadomości i rozstrzygnięć, wspólna wszystkim dyskutującym. Wtedy można się było spierać o poetyki, chwytły, metafory i ta fundamentalna sprawa: czym jest literatura? do czego służy? jakie

są jej wzorce i najszczytniejsze osiągnięcia? — zostałyby przesądzona.

My, dzisiaj, tocząc spory pokoleniowe zapominamy, że wieczne pytanie, czym jest literatura — pozostaje w naszych czasach bez odpowiedzi. I dlatego my tylko pozorujemy klótnię. Chciałbym zobaczyć literaturę jako sumę działań poprzez język, mających na celu jakąś istotną sprawę ludzką. I ta sprawa ludzka podsumowująca wszystkie działania literatury i sztuki jest właśnie tym, nad czym musimy się zastanowić.

RYSZARD KOZŁOWSKI
(WARSZAWA)

Aczkolwiek generacja „Orientacji” nie wypracowała, jak awangarda krakowska, równie jednolitego i nośnego modelu wiersza, co zresztą skądinąd nie

wydawało jej się celem, model ten — wydedukowany z istniejącej poezji, mimo dużego wewnętrznego zróżnicowania jest jednak w swych najogólniejszych tendencjach wyróżnialny i jak dotąd w młodej poezji — jedyny. Nie ulegajmy złudzeniom: antyprogramy są również programami, antyarty-styczne programy są również programami artystycznymi. Publicystyczne kaznodziejstwa, w których jako ukryte założenie funkcjonuje posiwiata od nierozwiązalnych problemów pozorna opozycja sztuki dla sztuki i sztuki dla życia, na którą niczym nowy kostium nakładana jest również pozorna opozycja zaangażowania i niezaangażowania — znajdują pełne usprawiedliwienie jedynie w pozornej poezji.

Nowa świadomość poetycka nie manifestuje się w wymachiwaniu wyjątkami z rekwizytorni przyku-

rzonymi sztandarami, ani w odświeżaniu starych transparentów. Nowe pokolenia nie zawsze są nowymi pokoleniami. I oczywiście nie chodzi tu o notoryczne nadużywanie terminu: pokolenie, lecz o świadome niemal stwarzanie dynamicznej zasłony zamiast realnej pozycji programu pozytywnego. Różnic pokoleniowych nie trzeba tłumaczyć: tłumaczą się same i nie wymagają programu. Natomiast wystąpienia grupowe w obrębie jednego pokolenia takich właśnie programów wymagają. Programy pozytywne są właśnie warunkiem ich wystąpienia.

ALFRED ŁASZOWSKI
(WROCLAW)

Norwid przerwał granicę między rzeczą wytwarzaną w sposób rzemieślniczy, a artystyczny, chciał nasycić sztuką

wszystkie przedmioty otaczającego nas świata. W związku z serijną i standardową tendencją naszej cywilizacji zachodzi tzw. dialektyczna sprzeczność między kierunkiem rozwoju cywilizacji a postulatem uczynienia wszystkich otaczających nas rzeczy dziełami sztuki.

My nie zastanawialiśmy się tutaj nad źródłami współczesnej poezji, mówiąc o jej strukturalnym kryzysie. A przecież jeszcze poeci romantyczni mieli te ambicje, że pytali siebie: kim ja jestem i co muszę wyrazić, żeby moja miłość mogła stać się wzorem obowiązującym dla całej epoki. Nowe pokolenie zostało zapędzone przez nas, krytyków, w ślepią uliczkę. Zarzucaliśmy wstępującym poetom młodopolską egzaltację i uczyniliśmy ich ludźmi straszliwie oschłymi. Wytworzyliśmy szkołę oschło-

Dwie książki o Tomaszowie

W 1968 roku ukazały się „DZIEJE PABIANIC”. Była to zbiorowa praca historyków łódzkich, poświęcona wynikom badań nad przeszłością miasta. Wysiłek ten wychodził naprzeciw zawsze żywym zainteresowaniom Pabianiczankami historią ich miasta. Książka wyrosła z sesji naukowej zorganizowanej w marcu 1963 r. z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego. Ambicją inicjatorów tego przedsięwzięcia, jak i zespołu autorskiego i wydawców, było służyć mieszkańcom tego miasta i jakże ciekawego ośrodka. Anonując czytelnikom wydaną wówczas książkę odnotowano w „Odgłosach”, iż Pabianice doczekawszy się pierwszej syntezы swych dziejów wyprzedziły Łódź. W ślady Pabianiec poszedł Tomaszów Mazowiecki.

Miasto to, choć znacznie młodsze od Pabianic, okazało się równie ambitne. Czytelnik tomaszowski uzyska dwie książki. Pierwszą z nich poświęconą będzie 60-letnim dziejom największego w mieście zakładu przemysłowego — Tomaszowskich Zakładów Włókien Sztucznych — Vistom. Z inicjatywą wydania pracy historycznej wystąpiło kierownictwo zakładu. Propozycje te z żywym zainteresowaniem przyjęli historycy skupieni w łódzkim Oddziale Polskiego Towarzystwa Historycznego. Przygotowali oni książkę popularną, choć opracowaną w oparciu o gruntowne i wszech-

stronne poszukiwania źródłowe. Rysuje ona dzieje fabryki od momentu jej założenia w roku 1911 do chwili obecnej. Rzadko którzy z badaczy penetrują tak bliską i niezwykle skomplikowaną fakturę historyczną. Odwaga ta była możliwa dzięki nieustannemu i serdecznemu wspieraniu wysiłku autorów-historyków konsultacjami i radami kierownictwa administracyjno-gospodarczego i społeczno-politycznego zakładów. Ten szereg spotkań, rozmów, dyskusji i konsultacji stanowi niezwykle ważne, a jakże jeszcze dotąd rzadkie doświadczenie naukowo-badawcze, wystawiając chlubne świadectwo łódzkiemu środowisku historycznemu.

Zespołem autorskim kierowała doc. dr B. Wachowska. Pod jej kierunkiem też w ostatnie stadia opracowań autorskich i redakcyjnych wchodził druga, znacznie poważniejsza praca, — poświęcona dziejom całego miasta. Zgromadziła ona przy tym opracowaniu grupę kilkunastu autorów. Wśród nich są nie tylko historycy, członkowie PTH, ale etnografowie i ekonomiści. Chcą oni dać czytelnikowi zarys dziejów gospodarczych, społecznych, politycznych i kulturalnych miasta. Kilkuletnie badania i poszukiwania źródłowe pozwalają wydobyc wiele ciekawych zdarzeń, ludzi, spraw i procesów w życiu miasta i jego mieszkańców oraz ukazać jego rolę w regionie łódzkim. Kwerendy archiwalne pro-

wadzone były bardzo szeroko zarówno w archiwum tomaszowskim, jak i wojewódzkim w Łodzi, ale i w warszawskich, takich jak Archiwum Akt Dawnych i Archiwum Akt Nowych, Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Archiwum Zakładu Historii Partii przy KC PZPR. Szczególnie dużo troski badacze wkładali w zdobycie jak największej i najszerszej informacji do najnowszych i współczesnych dziejów miasta. Czytelnik w przyszłości oceni w jakim stopniu ten wysiłek okazał się owocny.

Tym razem książka też wyrasta na podłożu sesji naukowej, zorganizowanej przez łódzki Oddział PTH z inicjatywy Wydziału Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Tomaszowie Mazowieckim, oraz tamtejszego Muzeum. Są to patroni bardzo ambitni i wymagający. Pragną dać czytelnikowi tomaszowskiemu pracę solidną, przyczyniającą się do rzetelnego poznania przeszłości tego miasta we wszystkich jego blaskach i cieniach, wzlotach i upadkach, w codziennym trudzie i od święta, w okresach szarego i codziennego wysiłku jego mieszkańców, jak i w chwilach próby, wielkich egzaminów historycznych, uświetnionych 25-letnim obywatelskim trudem przy jego rozbudowie w Polsce Ludowej.

Autorzy, wykorzystując doświadczenie zdobyte przy pisaniu „Dziejów Pabianic”, chcą sprostać tym ambicjom i wymaganiom. Jest to praca trudna, ale tym wdzięczniejsza, iż badania łódzkiego środowiska historycznego nad dziejami miast województwa łódzkiego, stające się w swej społeczności w skali kraju zjawiskiem dość unikalnym, rozbudzają żywe zainteresowania Piotrkowian, Zgierzan, Sieradzian i innych.

M. R.

POLONICA

RITTNER — PROZAİK

Tadeusz Rittner, znany autor sztuk teatralnych („W małym domku”, „Głupi Jakub” i inne), zaczyna przeżywać również swój renesans jako powieściopisarz i nowelista. Otrzymał w Wiedniu, jego powieść „Das Zimmer des Wartens” (polski tytuł „Drzwi zamknięte”), na pięknej papierze i w płóciennym oprawie, z postawieniem Hansa Heinza Hahnla. Powieść ta, uchodząca za najlepszą w twórczości prozatorskiej Tadeusza Rittnera, pojawiła się po raz pierwszy drukiem w 1918 roku. Od dawna nie wznawiana, ukazała się obecnie i trzeba powiedzieć, że czas nie obszedł się z nią surowo. Czyta się ją dobrze i z zainteresowaniem. Hans Heinz Hahnł w postawieniu pt. „Tadeusz Rittner — polski Austriak”, przedstawia życie i twórczość autora, „Drzwi zamknięte”, przypominając także sądy polskich historyków literatury o nim, m. innymi prof. Juliusza Kleienera, jk.

„IWONA”
WE FRANKFURCIE

Teatr we Frankfurcie nad Menem wystawił „Iwonę”, książeczkę Burgunda”, Witolda Gombrowicza. Warto przypomnieć dzieje tej sztuki. Opublikowana w 1939 roku w „Skamandrze” z inicjaty-

wy Tadeusza Brezy, została zagrana w 1937 roku w warszawskim Teatrze Dramatycznym, w reżyserii Haliny Mikołajskiej. W 1966 roku urotowano jej drogę za granicę. Stało się to z inicjatywy francuskiej. „Iwonę” zagrano w Paryżu w przekładzie Jądwiłgi Kukulczanki, w inscenizacji Jorge Lavellego, ze scenografią Krystyny Zachwatowicz. Sukces ten umieścił Gombrowicza w gronie „klasyków awangardy” europejskiej, do których się nieustannie wraca.

W.N.

W. SZYMBORSKA
PO NIEMIECKU

Coraz żywsze jest zainteresowanie literaturą polską w Austrii. Człowiek austriacki mieszczyk literacki „Literatur und Kritik”, odnotowujący często ważniejsze wydarzenia literackie w Polsce, w swoim kwietniowym numerze zaprezentował czytelnikom austriackim tym razem Wisławę Szymborską, zamieszczając jej wiersz pt. „Rede im Fundbüro” w przekładzie Jeanne Ebner i Ewy Kirchner. Jest to niemiecki przedruk wiersza, który ukazał się w ubiegłorocznym październikowym numerze warszawskiej „Poezji”.

Miesięcznik zamieszcza też krótką notę o polskiej poecie. (er)

POLONICA

Przeszłość i teraźniejszość

„Sądzę, że trzeba od czasu do czasu zatrzymać się na zakrętach historii, myśli wzbogaconą doświadczeniem, które nam przynosi współczesność. Historia, magistra vitae, jest mistrzynią, która uczy nie tylko wskazywaniem tego, co naród osiągnął, ale głębiej jeszcze i gruntowniejszym przypomnieniem tego, co zlekceważył i zaniedbał. Ten rewizjonizm trzeba uprawiać z umiarem, bez lekkomyślnych uogólnień i sztywnych założeń. Trzeba jednak o tym pamiętać, że czasem dopiero po wiekach są widoczne konsekwencje polityczne i moralne wydarzeń dziejowych. Za nimi musi iść właściwa ich ocena. O tym muszą wiedzieć, ci, co z przeszłości chcą wnioskować o przyszłości, dla których historia ma być mistrzynią życia”.

Te bardzo mądre słowa o historii napisał jeden z pisarzy najlepiej z nią zaznajomionych: Ludwik Hieronim Morstin. Podkreślając potrzebę coraz nowej rewa-

loryzacji historycznych sądów w wyniku doświadczeń, jakie przynoszą dokonujące się dzieje, opowiadał się za historią żywą i prawdziwie współczesną. Nie tęsknił do jej skodyfikowania w niezmiennym dogmacie, ale przecież nie opowiadał się też za nieumiarowanym antybrzoźnictwem, które było udziałem literatury nie tylko jego pokolenia. Znakomity pisarz był po prostu... rozsądnym.

Nawnością jest sądzić, że te ustawiczne zmiany historycznych poglądów są wynalazkiem naszych dopiero czasów. Prawda, przyspieszenie dziejów dzisiaj, gdy w dziesięciolecie staje się więcej niż dawniej w ciągu całego stulecia, przyspiesza również tempo przemian naszej myśli historycznej. Ale była ona zmienna od czasu, kiedy powstała. Tak było za Anonima Galla, który w swoim dziele pragnął w sposób historyczny uzasadnić słuszność polityki swojego protektora — Bo-

lesława Krzywoustego. Zamiast przewartościowania dotychczasowych mniemań legł u podstaw każdego właściwie wybitnego dzieła historycznego przeszłości, czy to będzie kronika mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem, czy ogromna historia kanonika Jana Długosza, czy u progu czasów

od zmienności jutra, którą dzisiaj ledwie nieśmiało tylko możemy sobie wyobrazić. Jaki jest dziś współczesny ogląd naszej historii? Czyba nawet autorzy wielotomowej „Historii Polski” ogłoszonej pod auspicjami PAN zgodzą się ze mną, że dzieło to rodzi się tak powoli i ukazuje z takim o-

Przewartościowania i synteza

nowożytnych „Historia narodu polskiego” Adama Naruszewicza. Każda epoka wnosiła do historycznego spojrzenia swój własny system wartości, w każdej z nich refleksja historyczna odpowiadała jakimś racjom i podejmowała dyskusję z innymi racjami. Bowiem i wówczas, podobnie jak dzisiaj, żywiołem historii była zmienność, choć jakże różna od tej, której doznajemy dziś, a pewnie jeszcze bardziej odmienna

późnieniem, że trudno uważać je w całości za wyraz najnowszych zapatrywań autorów, którzy przyczyniają się do jego powstania, utrudnia uzyskanie nie tylko klarowności wykładu, ale i w wielu wypadkach również jednolitości prezentowanych koncepcji. Zestawiały się zwiastujące te części dzieła, które ukazywały się w latach, kiedy nie istniał jeszcze sprzyjający klimat dla poważnej i odważnej refleksji historycznej. Wszy-

tko to sprawia, że nie sposób uznać „Historii Polski” za dzieło, w którym w pełni reprezentowane są ostatnie naukowe ustalenia i koncepcje. Te ostatnie łatwiej odnajdziemy w historycznych monografiach. Odnajdziemy — zapewne. Ale... kto? Czy można wymagać od każdego, kto pragnie się zapoznać ze zdaniem współczesnej nauki o tym czy innym zagadnieniu historycznym, by wertował w bibliotekach setki specjalistycznych rozpraw? Mam co do tego wątpliwości.

Niestety dobiegł swego kresu czas, kiedy jeden historyk mógł się podjąć opracowania syntezy całości dziejów narodowych, tak jak to uczynił swego czasu Bobrzyński. Rozwój i specjalizacja współczesnej nauki historycznej sprawiły, że dziś nie sposób uczynić tego w pojedynkę w sposób kompetentny. Historyk stanął przed dylematem: czytać czy pisać? Ale chociaż zakończył się czas wielkich indywidualnych syntez historycznych, nie nadszedł przecież... czas syntez zespołowych. Bardzo często, przeglądając książkę, opracowaną przez wielu współautorów, mam wrażenie, że dłu-

ga lista nazwisk na karcie tytułowej świadczy nie tyle o tym, że każdy problem został opracowany przez specjalistę, ile że niema komu... odpowiadać za całość dzieła. Zbytnią wieloosobowość przechodzi tu w swoistą nową jakość: staje się niemal anonimowością... Optymalnym wyjściem z sytuacji wydają się dziś syntezы cząstkowe, obejmujące jakiś względnie szeroki okres czasu, w rodzaju tego, co zaprezentował Stefan Kieniewicz w swej „Historii Polski 1795 — 1918” (1970), które złożyłyby się na całość. Myślę dziś o tym i autorzy i wydawcy. Ale zanim rzecz zostanie szczęśliwie doprowadzona do końca musi niestety upłynąć nieco czasu. A tymczasem? Tymczasem mamy coraz więcej interesujących wypowiedzi z pogranicza historii i publicystyki, w których prezentowane są najnowsze koncepcje naukowe. Myślę chociażby o ostatnim cyklu wrocławskiego miesięcznika „Odra”, opatrzonym ogólnym tytułem „Lekcja historii”. Ale o tym kiedy indziej.

JÓZEF GRZELAK

ści. Współczesna poezja podzieliła los nauki w sensie hermetyzmu językowego. A myślimy się kiedyś zastanawiali, czy wypowiedzenie własnej osobowości w sposób absolutnie doskonały, jest najwyższym celem poety. Niewątpliwie nauka ma język hermetyczny, ale podejrzewam, że chodzi tu o zagadnienie szersze; że gdy ktoś wypowie swoją osobowość w sposób niepowtarzalny, przestaje być w pełni komunikatywny dla innych, niepowtarzalny osobowości. Wytworzyliśmy atmosferę, w której pytanie — z czego czepać: z siebie czy ze świata? — staje się wieloznaczne. Bo nie bardzo wiemy, co to znaczy: świat.

Zwracam się do poetów: czy cechuje was ta ekstatyczna żądza wszystkości, która cechowała na przykład romantyków? W jakim stopniu i w jakim miejscu chcecie przylegać do świata, co to zna-

czy, że poeta jest pogrążony w świecie, a wychodzi z własnej skóry.

ROMAN ŁOBODA
(ŁÓDŹ)

Przez dwadzieścia parę lat „kołowano” poetów polskich w różny sposób i dziś mamy tego skutki. Były próby zwalania całej winy za tę sytuację na poetów, dokonywane przez znakomitych krytyków, m.in. tu obecnych. Ale przecież przekonał się, że właściwie żadne postulaty tutaj pod adresem poetów ze strony krytyków nie padły. Znajdujemy się w jakiejś próżni. Poruszone zostały na tej sali różne sprawy; problem turpistów, lingwis-

tów, nadrealistów i innych kierunków. Jarosław Marek Rymkiewicz doczekał się nawet krytycznej rozprawki, ale nadal nie wiemy, dokąd zmierza polska poezja. Romantyczny głos pana Laszowskiego był chyba najbardziej uczelny, jeśli chodzi o postulaty pod adresem poezji. Bo wydaje mi się, że my wszyscy mamy pewne obowiązki wobec kultury polskiej i z tych obowiązków przyjdzie nam się kiedyś rozliczyć. Załatwialiśmy tu różne sprawy, ale nie mówiliśmy dotąd o istotnych, zasadniczych problemach naszego klimatu poetyckiego, o tym, co stanowi pewien niedowład współczesnej poezji. Odczuwam, że ten klimat aktualnie się zmienia, zmienia się

choćby dlatego, że nagrodzone przez jury tomiki są wyzwolone z konwencji, które zaciążyły na całej poezji polskiej, które ją, po prostu, paraliżowały. Bo co jakiś czas zjawiali się nowi prorocy, którzy przez swoje objawienia niszczyli całe swoje otoczenie, nie mówiąc już o koteriach, które nie dostrzegły wielu zjawisk poezji. Jesteśmy odpowiedzialni za wszystko, co zniszczyliśmy w poezji, a myślę, że zniszczyliśmy dość wiele. Nie ma tutaj sądzić i nie ma podstępnych: tu są po prostu sprawy do załatwienia.

Takie słowa, jak odwaga, miały różne zabarwienia. Teraz odwaga potaniała, pół roku temu była bar-

dzo droga. Myślę, że jest wielu poetów, którzy mieli odwagę także przed pół rokiem. Na tym festiwalu ujawnili się jednak zasadnicze wartości poezji, które nie są wtórne i które nie mają masek. Krytyka powinna wiedzieć już dziś, czym jest to nowe zjawisko, wyzwolone z wszystkich mód, wszystkich mikroestetyzmów. Bo przecież dotychczas grzęźliśmy w małych estetyzmach i małych sprawach. Nie jest możliwa żadna ocena krytyczna ani działalność twórcza, jeśli u ich podstaw nie leży sprawiedliwość ocen. Bo wszystkie miary, estetyzmy, smaki i smaczki są fałszywe, jeśli nie towarzyszy im zwyczajna ludzka sprawiedliwość.

DIABEL Z PUDELKA

Kilka miesięcy temu oglądałem Legera w Muzeum Narodowym w Warszawie. Leger to słońce. Jego twórczość przypomina południową brzoskwinie — jedrna, soczysta, zdrowa, nabrzmiała sokiem, barwą i wonią. Leger, który tak bardzo pragnął być artystą „wieku maszyn”, był w gruncie rzeczy artystą na wskroś plebejskim. Chciał być trzeźwy, ale co rusz upijał się słońcem i kolorem. Są owoce, które zdejmują się z drzew, gdy są jeszcze zielone, składa się je w piwnicach, w sianie lub na deskach, gdzie dojrzewają. Podobnie dzieje się z Legerem. Dojrzał w salach muzealnych i uczonych monografiach, aby objąć się dzisiaj twórczością zmysłową i pogodną. W latach dwudziestych, trzydziestych nie zauważano tych cech jego twórczości. Może on sam nie pozwalał, aby widziano w nim chłopca, w którego żyłach krążyła siła — przecież służył w pułku artylerii w czasie I wojny ujrzał zamek działka kaliber 75 mm i odkrył piękno maszyny, wynikłe z konstrukcji i funkcji. A może sztuka dnia dzisiejszego sprawia, iż w twórczości Legera odkrywamy takie pokłady słońca i życia? Wszak sztuka ta daje nam albo bezosobowe produkty umysłowych spekulacji i technicznej wirtuozerii, albo przeciwnie — straszy nas wizjami, wobec których Apokalipsy średniowieczne są rozkosznymi bajkami do poduszki.

To „straszenie” stało się jakąś ogólnie przyjętą mową, zataczającą coraz szersze kręgi, zwłaszcza w grafice, choć i malarstwo nie jest od niej wolne. Panują wszechwładnie na wystawach bebeczy, kłębowa jęlit, stoczone postacie imbecyloznych karłów z przepysznie rozwiniętym wodogłowiem, żalozne szczytki

pięknego ongiś ciała ludzkiego. Dziwne to zjawisko. Statystyki i pomiary antropologiczne wykazują, że nasza „powłoka doczesna” czyli tzw. ciało zyskało ostatnimi czasy na urodzie — jesteśmy wyżsi, harmonijnie rozwinięci, słowem — ładniejsi. Czy więc wizerunek



Halina Korbik — „Akt z zasłoną”

człowieka, jaki kreślił sztuka współczesna w poważnej swej większości ma być wizerunkiem naszego drugiego „ja”, naszego wnętrza, naszej duszy (której podobno

nie ma)? Bardzo prawdopodobne, niemniej ten masochizm, czy jak kto woli — ten jednostronny, mocno zawężony kąt widzenia — zaczyna powoli nużyć, ba, nawet budzi sprzeciw.

Przykłady? Tych nie trzeba szukać daleko. Niedawno został rozstrzygnięty w Łodzi Ogólnopolski Konkurs na grafikę warsztatową. Jury w składzie: M. Majewski (W-wa), St. Fijałkowski (Łódź), J. Książek (Łódź), W. Kunz (Kraków), Z. Lutomski (Kraków), R. Opałka (W-wa) przyznało pierwszą nagrodę Antoniemu Starzewskiemu za lino ryt pt. „Kompozycja M-W”, dając tym gestem wyraźnie do zrozumienia, że nie darzy najwyższym uznaniem „filozofujących straszdeł” leniwe grzejących się w blaskach galanterijnej wirtuozerii technicznej i w ostateczności woli już coś, co niczego nie przedstawia i do niczego nie zobowiązuje.

Dla Bakylem „straszenia” zarażeni są i najmłodszy adept sztuki. W Klubie Dziennikarza niedawno miała miejsce wystawa studentów Łódzkiej PWSSP — trzech z nich w opowiadaniu koszmarnych bajeczek nie ustę-

ogarnia człowieka, gdy zobaczy potem taką na przykład Grafikę Toruńską albo lino ryt Oty Matouska z Czeskich Budziejowic. Widac, tylko na głuchej, zabitej deskami prowincji, można jeszcze „nie straszyc”. W Warszawie, w Łodzi, w Europie takie numery są nie na miejscu. Mimo tego jednak, iż będę posądzony o nienowoczesność, brak gustu i zrozumienia podskórnych treści „nowej figuracji”, przyznać się muszę do skrytej tęsknoty za sztuką, która widziatoby we mnie nie tylko demona deprawacji i potencjalnego niszcyciela ziemskiego globu w zdegenerowanej posturze fizycznej, lecz również człowieka, który często zwraca twarz ku słońcu i ma na ziemi wiele rzeczy, które miłuje i darzy szacunkiem. Takie potraktowanie „tematu”, przypuszczam, byłoby bliższe prawdzie. A przecież sztuce, która w gruncie rzeczy jest kłamstwem, jednak w końcu o prawdę chodzi...

Dla powyższych, między innymi, powodów z przyjemnością chodziłem po wystawie Haliny Korbik w Salonie Współczesnym. Nikt mnie nie straszyl diabelkami z pudełka (biologizm z geometrią w „nowej figuracji” zjednoczyły swoje wysiłki we wspólnym frontie), przeciwnie — oko cieszyło się dowoli kolorem i lekkością nierafinowanego rysunku. Efemeryczne, nagie dziewczęta na płótnach, skutecznie wymiotły z mej pamięci hordy zidiocalnych karłów i kilogramy skoitunionych jelit. Ich dionie o długich, smukłych palcach zaprowadziły na chwilę iad i porządek, rozchyliły zasłony, pozwalając spojrzeć na pejzaże, w których zdarzyć może się wszystko. Dobrze, nagie wróżki mogły wyjść tylko z wyobraźni i spod pędzla kobiety. A wyobrażenia to bogata, pełna szczygółków i drobiazgu, nielogiczna i jakże przez to frajująca, sentymentalna i melancholijna (w granicach przywoitości), słoneczna, ale i odrobinię jesienna. Do tego kultura plastyczna, a raczej intuicja plastyczna, wielkie wyczulenie na kolor, raz soczysty, dosadny, gdzie indziej lekki, pełen powietrza i światła, na kompozycję. Proszę mnie dobrze zrozumieć — malarstwo Haliny Korbikowej nie jest malarstwem śmieszny, blazującym, niedzielny ani żadnym takim. Jest to malarstwo poważne, robione przez artystkę dojrzałą, świadomą twórczych zamierzeń, które niesie w sobie instynktową afirmację życia. Poetycką chwilę nie zagrożoną. Wy-mowa tych obrazów jest dla mnie głębsza i pełniejsza niż „filozofia karłów i bebeczów”. Proszę, wybaczenie, że upodobania — ulubioną mają książeczką jest ciągle jeszcze „Colas Breugnon” i to, po prostu, tłumaczy wszystko.

puje swoim starszym kolegom, choć trzeba przyznać, że czyni to z dużym wdziękiem, graniczącym niemal z rutyną. Oczywiście śmiech pusty

50 LAT W DRUKARNI

Mówi się o nich, o ich pracy raz do roku, z okazji ich święta. Przez cały rok pozostają anonimowymi współtwórcami gazet, czasopism, książek. A przecież ich wkład w dzieło powstawania książki czy gazety, w jej terminowe ukazanie się w sprzedaży, jest znaczny. Od nich w dużym stopniu zależy czy rano, idąc do pracy będziemy mogli kupić naszą codzienną gazetę, od nich też w dużym stopniu zależy zewnętrzna szata tej gazety. Ich praca jest odpowiedzialna i niełatwa, stanowi nieustającą gonitwę z czasem. Poświęca im się jeden dzień w roku — Dzień Drukarza. Wtedy mówi się o ich pracy, nagradza za tę pracę.

W tym roku wśród odznaczonych znalazł się Bolesław Andrzejewski, udekorowany wysokim odznaczeniem państwowym — Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Na to odznaczenie pracuje ponad 50 lat. Od 10 lat jest kierownikiem rotacji i stereotypu drukarni Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa”, czyli tej drukarni, z której wychodzi wszystkie łódzkie dzienniki, a również „Odgłosy”.

Mimo tylu lat pracy pozostał czynny i energiczny, a ze swego kierowniczego stanowiska tłumaczy się z poczuciem humoru: „W 1962 roku miałem poważny wypadek samochodowy i lekarze zalecili mi lżejszą siedzącą pracę”. Nie jestem pewna, czy ta praca jest tak bardzo siedząca i lekka, ale widzę, że pan Andrzejewski chętnie by pracował przy maszynie gdyby zdrowie pozwoliło.

Pół wieku to smat czasu i kawał historii. 50 lat pracy Bolesława Andrzejewskiego, to kawał historii drukarstwa łódzkiego, łódzkiego dziennikarstwa. Laureat ma bowiem pamięć znakomita, pamięta również dobrze czasy przedwojenne, jak pierwsze lata po wojnie. A pamięć ta sięga daleko wstecz, do 1919 r., kiedy jako goniec rozpoczął pracę w drukarni przy Piotrkowskiej 85 i kiedy łódzkie drukarstwo dopiero się rozwijało. Po przejściu szkolenia, poprzez funkcje pomocnika drukarskiego, doszedł do samodzielnej pracy stereotypera.

Wspomina tamte, przedwojenne czasy, w których zostawił swoją młodą rodzinę i te powojenne, w których młodzież powróciła wraz z wolnością i nowym życiem. Drukarnia łódzka powstawała wtedy



od nowa. Już w dwa dni po wkroczeniu Armii Czerwonej łódzcy drukarze rozpoczęli pracę i spod ich rąk wyszły pierwsze numery prasy polskiej — „Wolna Łódź”. A potem stopniowo przybywało tytułów, dzienników i wszystkie drukowała początkowo jedyna maszyna rotacyjna w drukarni przy ul. Żwirki 2.

Wspominać by tak można długo, ale przede wszystkim warto, by pan Andrzejewski wspomniawszy swoje spisał i w formie pamiętników, albo innej, wydał. Byłby to cenny wkład w monografię Łodzi. Ale na razie jest bieżącą, codzienną pracą, która nie zostawia czasu na wspomnienie. Dobra to praca. „Gdybym miał jeszcze raz wybierać zawód, jeszcze raz zaczynał życie od początku, to wybrałbym po raz drugi drukarstwo. Bo to jest praca blisko życia, jego wydarzeń najwzniejszych, najaktualniejszych. To jest praca w nieustającym pośpiechu, w walce z czasem, o minuty, o sekundy, bo zawsze jest późno, zawsze chodzi o to, żeby skończyć jak najwcześniej. I ogromna satysfakcja kiedy rusza już maszyna rotacyjna i potem, kiedy wozy łączności zabierają gazety na miasto...”

A więc Laureatowi życzyć trzeba, aby dopisywał zdrowie, by pozwolił jak najdłużej pozostać w pracy, która stała się jego życiem. (TW)

► POLONICA ◄

TEATR KANTORA
WE FRANCJI

Ośrodek Akcji Kulturalnej (Centre d'Animation Culturelle) pracuje od sześciu lat w miejscowości Malakoff pod Paryżem, w pięknej sali, mieszczącej 800 osób. Zaprosił on zespół Tadeusza Kantora z Krakowa (Cricot II), który przyjechał z „Kurką wodną” Stanisława Ignacego Witkiewicza (pokazaną też na festiwalu w Nancy). Odbyły się w Malakoff dwa przedstawienia, 7 i 8 maja o 12-tej w nocy. W programie francuskim czytamy, „że Teatr „Cricot II” został powołany do życia w 1955 roku przez

kilku malarzy, poetów i aktorów polskich o tendencjach awangardowych. Dąży on do całkowitego odnowienia zasad gry scenicznej. Według Kantora tekst i akcja sceniczna nieuchronnie powodują powstawanie, rozwój i akumulację iluzji. Kantor instynktownie dąży do jej rozbitcia, by nie stracił kontaktu z tym, co ona ukrywa: rzeczywistością elementarną i stałą, która stanowi surowiec teatru”.

Teatr działający w Malakoff jest finansowany przez łowicową radę miejską. Nosi on obecnie nazwę Théâtre 71. Ma salę tak zbudowaną, że może się przelotowo w „théâtre en rond”. Na pierwszym piętrze odbywają się wystawy. Dyrektorem jest Guy Kayat.

W. N.

KAROL BADZIAK

Prawdziwe było tylko nazwisko

Bohater, którego dziś pragnę przedstawić, działał w sferach urzędniczych. Z trudem ukończył IX klasę szkoły ogólnokształcącej, ale z łatwością został kierownikiem wydziału instytucji o dłuższej nazwie niż kanał Pilica-Łódź. Zajmuje się tą instytucją wywłaszczaniem terenów właśnie pod ową wododajną inwestycję. Przyjęty został do pracy na podstawie fałszywych dokumentów dwa lata temu. Przywiózł z sobą ze Szczecina, gdzie przedostatnio raczej bawił, niż pracował, cały plik przeróżnych fałszywych zaświadczeń. Mogły one z sobą wzajemnie konkurować tylko o to, które jest lepiej podrobione. Prawdziwe w tym wszystkim było jedynie jego nazwisko: Eugeniusz Janiszewski, lat 31, zam. ul. Obrońców Stalingradu 47.

Zaświadczenie natomiast z poprzedniego miejsca pracy, opinia (b. dobra), dokumenty, dotyczące jego studiów zaocznych na dwóch równocześnie wydziałach Politechniki Szczecińskiej — wszystko to

było sfalszowane. Na podstawie podrobionego zaświadczenia pobierał zasiłek rodzinny i wyjeżdżał również na rzekome egzaminy do Szczecina, gdzie z kolei pobierał z ZUS zasiłek chorobowy.

Ledwo rozpoczął pracę w nowym przedsiębiorstwie, zaraz przystąpił do montowania afery. Do jego obowiązków należało ustalanie wysokości odszkodowań za straty wynikłe podczas przeprowadzania robót wodno-kanalizacyjnych. Wycenę szkód spowodowanych np. zniszczeniem roślin, sadów, krzewów sporządza się, oczywiście, komisyjnie. Ale to tylko teoria, faktycznie rzeczy te robił nasz bohater sam, a rzeczoznawca, kasjer i dyrektor składali formalne podpisy pod rachunkami.

Przynosił im umowę na piśmie z osobą, która doznała szkód i na mocy porozumienia wyrażała zgodę na przyjęcie odszkodowania w określonej wysokości. Wymienioną kwotę przelewano na książeczkę PKO i sprawa załatwiona. Nikt

się tym bliżej nie interesował, w końcu przecie nie z własnej kieszeni, lecz z państwowej kieszki szły na to pieniądze. Jak się nasz bohater zorientował, że to takie proste, zaczął sporządzać fikcyjne protokoły, fikcyjne porozumienia i fikcyjne książeczki PKO. Tylko pieniądze były autentyczne.

Pracę rozpoczął w maju, we wrześniu przystąpił do kombinacji, a w listopadzie zbierał już pierwsze owoce swego procederu. Książeczki PKO zakładali na jego prośbę znajomi na swe nazwiska, dając mu upoważnienie do dysponowania wkładami. Potem na nazwiska tych znajomych prokurował on fikcyjne protokoły, porozumienia oraz wyceny.

Jak z tego wynika, prześcignął Cziczikowa. Stara prawda, że życie naśladowuje literaturę, jeszcze raz się potwierdziła z tym, że czyni to bardziej kunsztownie. Zresztą Gogolowski bohater wiele mógłby się od Eugeniusza Janiszewskiego nauczyć. Tamten kupował „mart-

we dusze”, ten je sam tworzył z żywych ludzi, którzy nawet o tym nie wiedzieli. Ich szczęście, gdyż w przeciwnym razie zasiedliby z nim razem na ławie oskarżonych. Książeczki PKO wydostawał on od nich podstępnie, przez grzeszność.

W stosunkowo krótkim czasie zdołał zagarnąć dla siebie niebagatelną sumę około 700.000 zł. Umieblał za te pieniądze mieszkanie, kupił „Fiata-125P” i wyjechał na wczasy do Bulgarii. Po powrocie z czarnomorskiej plaży został aresztowany. Przyznał się do wszystkiego, tylko, żeby mu w celi nie było nudno, postanowił obciążyć współodpowiedzialnością jednego z dyrektorów przedsiębiorstwa. Twierdził w śledztwie, że dopuścił się tych przestępstw wyłącznie z sympatii dla swego szefa, któremu całą kwotę gratis przekazał, otrzymując w zamian symboliczne 37.000 zł.

Miejmy nadzieję, że wyroku, jaki niebawem otrzyma, nie uda mu się podrobić.

TROGLODYCI WŚRÓD KSIĄŻEK

Majowe Dni Oświaty, Książki i Prasy każdego roku przynoszą serię publikacji, utrzymanych w odświętnym tonie i najczęściej poświęconych rozwojowi czytelnictwa w Polsce. W atmosferze odświętnej wybrałem się do Biblioteki Uniwersyteckiej, by zobaczyć jak naprawdę, bez świątecznej gali, żyją książki. Leży teraz przede mną pięknie wydany tom „Geographie Universelle Larousse”, zazwyczaj ogólnie dostępny w czytelni podręcznej BUL. Wertując strony i z wzrastającym zdumieniem widzę, że poszczególne karty pocięte są okrutnie ostrym narzędziem (potem dopiero dowiem się, że najczęściej używa się tu żyłtek), natykam się na ciekawe zestawy zdjęć z całego świata, z których ktoś powyrzywał jakieś fragmenty. W innym miejscu kilka stron przeciętych w połowie. W całym tomie brak wielu kart. Sięgam po „Zasady komunizmu” Engelsa. W rękę zostaje mi tylko obwoluta. Ktoś wyrwał całą zawartość. W „Historii filozofii” Tatarkiewicza brak nie tylko poszczególnych stron, wyrwano cały arkusz wydawniczy. Z wydanej w Moskwie „Historii literatury rosyjskiej XX wieku” wycięto jeden rozdział. Z „Fizyki atomowej” pozostało także wspomnienie w postaci obwoluty. W „Herbarzu polskim” Bonieckiego brak kilku stron — widać któryś z nobilitowanych studentów zagubił swój herb i w ten sposób chciał zrekonstruować rodzinne papiery.

Z albumu Picassa wycięto barwne reprodukcje. Zniszczono również „Życie seksualne dzikich” Maltowskiego. Wpadam w coraz większą pasję. Może chociaż uszanowano literaturę piękna? Gdzieś tam. Piękne wydanie „Boskiej komedii” zniszczone i pocięte żyłką. To samo z „Esejami” Manna. W „Sławie i chwale” powyrwane strony. Nawet powieść Dumasa „20 lat później” nie ocalała pod ręką jakiegoś

„miłośnika” literatury „plaszczą i szpadą”.

Podobne obrazy w czytelni czasopism. W literackich czasopiśmie dwudziestolecia międzywojennego brak wielu artykułów. Poszczególne numery poprzecinane żyłkami i poprzecierane. Także „Rude Pravo” nosi ślady działania czytelnika-poligloty. Notabene schwytywany na gorącym uczynku wandal, wycinający z niego artykuł z spokojem stwierdził, że jest mu on niezwykle potrzebny i dlatego zabiera go sobie! Inny znów dął czołowy polski dziennik, stwierdzając, że niszczy fałszywe polityczne materiały. Autentycznej! Szczególną uwagą obdarzają wandalę czasopisma, zamieszczające zdjęcia bardziej i mniej rozebranych aktorów. Dużym powodzeniem cieszy się więc „Bogato zdobiony organ M. Malcharka”, ostatnie strony „Kina”, katowicka „Panorama”.

Inna forma szalejącego w bibliotece wandalizmu to kradzież kart katalogowych. No, bo przecież zamiast ślepczeń nad nudnym ustalaniem bibliografii, przepisywaniem z kart hasel, nazwisk, tytułów i danych wydawniczych, można po prostu wynieść do domu kilkadziesiąt czy kilkaset i sprawa załatwiona. A że wiele trudu będzie kosztować rekonstrukcja całego hasła (nierazko jest to niemożliwe), o tym ułatwiający sobie życie młody „naukowiec” myśleć przecież nie musi.

Oglądam dalej dziesiątki chorych książek i czasopism. Zniszczone, zatłuszczone, podarte i pocięte. Czym to wytłumaczyć? Jak wyjaśnić fakt nagminnego podkreślania w podręcznikach całych akapitów kolorowymi długopisami? Jak można pojąć działania troglodyty, podkreślającego kredką każdy niemal wers w tomie wierszy Baudelaire'a czy Konopnickiej? Dlaczego tną, drą, niszczą, brudzą? Dlaczego utrudniają bibliotece, zabezpieczającej nieśmiertelność, albo drugi żywot pi-

sarzom i naukowcom, jej właściwe funkcjonowanie? Dlaczego wreszcie kierując się niskimi instynktami i egoizmem nie chcą, by następne pokolenia korzystać mogły z tego magazynu wiedzy?

Kardynał Ryszard de Bury w traktacie „O miłości do ksiąg to jest Philobiblon” pisał w 1344 roku o współczesnych mu niszczycielach ksiąg:

„Widziacie może tego rodzaju lekomyślnego chłystka, jak postępuje sobie bawian ten przy czytaniu, jak żoną w czasie mrozu z zanadto zimnym i mokrym siada nosami, jak nie myśli o tem, aby go wytrzeć i pląsknąć smarkami, nie zaparkując ksiąg, przezu nim leżących, rzucając na posole uchyniętego brudu, czarnego jak sadza i niem o to zważając sobie dogadzający mu usęp z książką. Nie wsyła się smierzeć tak jak jesc owoców i sera nad otwaria książką, albo każdo spacerować szkiełce to po jednej, to po drugiej stronie, a nie mając swej szanownej sakwy pod ręką, pozostawia w książce resztki otwartu...”

Istnieją też bezwstydní młodzi ludzie, którym szczególnie należałoby zakazać dotykania się książek; zaciągają bowiem nauczyli się czytlowywać literę, a już bawią się w nieszczęśliwych komentarzow tych tomow przedudnych, które im powierzone; a gdzie dawniej szeroki był margines naokoło tekstu, widać obecnie potworny alfabet, albo jakąś inną bezwstydnosc... Istnieje także pewien gatunek złodziei, w wysokim stopniu kaleczących księgi, ponieważ dla napisania listu, obcinają brzegi stron i odgryzają nawet kartki ochrone”.

Zacytowawszy krewkiego kardynała przyjdzie z przykrością stwierdzić, że niewiele zmieniło się od tamtych czasów. Może tylko spadkobiercy tamtych udoskonalili metody. Głośny jest obecnie wśród studentów jednego z wydziałów Uniwersytetu i zatrudnionych pracowników Biblioteki przypadek ujawnionej kradzieży kilkunastu cennych tomów. Zdolny ponoć student Krzysztof S., słuchacz dwóch wydziałów, kompletował sobie systematycznie prywatną bibliotekę. W części przywłaszczonych ksiąg zdążył już powycinać karty tytułowe z sygnaturami BUL. Działaniu jego żyłki uległy także te strony wewnątrz tomów, na których znajdowały się stemple Biblioteki. Rzecz charakterystyczna, że łupem jego „kolekcjonerskiej” pasji padły przede wszystkim wydawnictwa drogie. Smutniejsze, że po ujawnieniu całej afery niektórzy koledzy „uczonego” wandalę próbowali bagatelizować sprawę, wręcz utrudniać jej wyjaśnienie.

Dotykamy tutaj problemu kolejnego. Wprawdzie opisane wyżej działania można jakoś ukryć przed okiem dyżurującego bibliotekarza, ale trudno wyobrazić sobie, by darcie kart, wycinanie żyłkami ilustracji i artykułów, wyrwanie arkuszy, czy chowanie za pazuchę całych tomów zawsze pozostawało nie zauważone przez kilkadziesiąt osób, zebranych w czytelniach. Dlaczego więc nie zdarzyło się dotąd, by wandalę ujawnili sami czytelnicy? Dlaczego w najlepszym wypadku korzystający z Biblioteki posługujący się anonimami, polecającymi szczególnej pieczy bibliotekarzy np. wydawnictwa prawnicze. Mam nadzieję, że z problemem społecznym i tylko przy pomocy społeczeństwa zwalczyć go możemy. No, bo jakże inaczej zaradzić złu? Oczywiście można by zastosować metody administracyjne. Zlikwidować czytelnie podręczne, zatrudnić pracowników dozorujących czytelniaków, wprowadzić rewizję jak np. w niektórych wielkich bibliotekach europejskich. Przy wysokich nakładach finansowych można by zainstalować, jak w zachodnich magazynach handlowych, telewizję wewnętrzną, gdzie dyskretnie umieszczone kamery spełniałyby funkcję tajnych agentów. Można by także wmontować w oprawę każdego tomu w czytelni podręcznej metalową płytkę, a fotokomórka zainstalowana w drzwiach sygnalizowałaby „wychodzące” egzemplarze (podobno takie rozwiązanie zastosowano w Szwecji).

Ja na razie zaś proponuję rozwiązanie łatwiejsze i tańsze. Podajmy po prostu złodziei i barbarzyńców presji środowiska studenckiego. Nazwiska ujawnionych wandal podajmy do wiadomości publicznej, wywieszając je na czarnych tablicach w bibliotece, na wydziałach uczelni, i w domach akademickich. Niech zajmą się nimi ich koledzy, surowo osądzając w sądach koleżeńskich. Niech odpowiedzą przed swoją organizacją, przed ZMS czy ZSP. Umieśćmy ich na marginesie życia akademickiego, skoro takie miejsce sobie wybrali. Ludziom niegodnym, rzucającym cień na środowisko studenckie, wstęp do bibliotek wzbroniony!



„Słowik”

16 MAJA 1971 R., W MIKOŁAJKACH, ZGINAŁ TRAGICZNIE ŁÓDZKI POETA I DZIENNIKARZ JANUSZ SŁOWIKOWSKI.

Była to śmierć niepojęta, wszystko przeciw niej się buntowało. Śmierć znacząca walką z żywiołem do końca. Śmierć zawiniona opieszałością ratowników.

Nazywaliśmy go różnie: najradziej był dla nas Januszem, częściej Jankiem lub Jaskiem, co miało złą stronę, że umożliwiało zabawne pomyłki. (Skotnicki — również Janek, był przecież drugą duszą zespołu). Kiedyś ktoś — nazwał go Słowikiem. Tak też pozostało. Skrót od nazwiska i coś jeszcze: charakterystyka postaci. Jak rzadko.

Przyszedł do zespołu nieco później niż my — pierwszy. We wczesnych programach nie słyszało się jeszcze Jego piosenek. I to były programy sjaosze. Ale wszystkie następne nosiły już znamię twórczości Słowikowskiego — znak najwyższej jakości. To, czym stał się były teatr „Pstrąg” w decydującym stopniu wiązało się z Jego inwencją, z Jego talentem. Cudownie zgrali się z Piotrem Hertlem: Słowik pisał teksty, które inspirowały kompozytora — teksty pełne poezji i muzyki, którą należało jedynie uchwycić i zapisać w formie partytury. Tak powstały „Parasolki”, „Colt”, „Stary Johnny”, „Moja bezsenność”. W sali operetki śląskiej w Gliwicach padały z łoża dyrekcyjnej bukiety kwiatów pod stopy Ewy Nagurskiej, gdy śpiewała piosenki Słowika, w czasie Festiwalu Studenckich Teatrów. Kwiatami witali Francuzi i Polacy z Francji Jego piosenki, podczas triumfalnych tournée zagranicznych „Pstraga”.

Dwa — bezsprzecznie najlepsze programy: „Panowie, świat jest zielony” i „Siódme — nie flatruj” stanowiły już rodzaj recitali poetyckich Słowika. Aby ocalić od zapomnienia umierający folklor łódzki przedmieść, Słowikowski ze Skotnickim całymi dniami lażili uzbrojeni w magnetofon. Tak — z unikalnych zapisów — powstał jedyny w Polsce stylizowany wodewil łódzki „Siódme — nie flatruj”. I pomyśleć, że za ten wyczyn i za całe życie dla miasta nie doczekał się Janusz Honorowej Odznaki Łodzi. Nawet pośmiertnie Mu jej nie przyznano. Złe dla poety miasto? Być może.

Przyszedł lata dojrzałe. Dawny STS „Pstrąg” rozpadł się, zwykłą rzeczą koleją. Ale pozostali twórcy. Słowik w Rozgłośni Polskiego Radia, Słowik w „Wesołym Autobusie”, piosenki Słowika w dubbingowanych filmach amerykańskich i w polskich filmach różnych wytwórni, światowa kariera „Parasolek”, kabarety — od „Poddasza” do „Figl”... A w tym wszystkim Janusz, po staremu żywiliwy dla każdego, po sztabacku wesoły, całkowicie wolny od zawiści. Talent ogromny, świadomy urody świata.

Nigdy nie zapomnę, że właśnie On — do którego poezja sama przylatywała, jak zadyszana pensjonarka — że właśnie On cieszył się najbardziej z mojego drobnego sukcesu, gdy udała się jedna z nielicznych moich piosenek „Lecą liście kolorowe”. Nie zapomnę dnia, gdy we Wrocławiu poszliśmy razem na gościnne występy „Cyrku Rodziny Afanasjew”. Jak tam Słowikowski szalał z radości, jak biegł ścisnąć ręce Aliny, Jerzego, Ryśka Ronczewskiego... Cudzy sukces artystyczny był dla niego osobistym, prawdziwym świętem. Pokażcie mi drugiego takiego poetę w naszym świecie pełnym zawiści i kompleksów!

A dzisiaj — ziemia i milczenie. Nad tym pięknym człowiekiem. Nad Jego sercem i uśmiechem. Z tym pogodzić się niepodobna.

ROBERT GLUTH



SZWEDZI W PARYŻU

Teatr Muzyczny stara się, zapewne w miarę możliwości, przeplatać w swym repertuarze operetki z musicalami. I tak po „Wiedeńskiej krwi” Straussa, przyszła kolej na premierę współczesnego musicalu. „Ach, Nicole” (*). Michela Jaręgo i Andreasa Bauera. „Nicole” (osobiście wolę tytuł oryginalny, niż polski z dodatkami westchnieniami „ach”) jest pozycją współczesną, bo napisaną bez mała dziesięć lat temu, ale w obyczajowej współczesności dziesięć lat to wiele. Na przykład hippiesi w ciągu tych lat bardzo nam się rozwinęli. Zapewne dlatego ci musicalowi są już nieco przestarzały, dzieciennie lagodni, naiwnie sympatyczni. Nie szkodzi jednak, w muzycznym repertuarze rozrywkowym wszyscy bohaterowie mają obowiązek być sympatyczni. Natomiast miłość jest nieśmiertelna, uroki Paryża również, tak samo jak wmontowani w jego pejzaż malarze i clochardzi. Można czerpać z tych tematów dowoli, dla wszystkich starych, sukces lub niepowodzenie zależy od tego jak się do tematu podej-
 *) „Ach, Nicole”. Muzyka — Michel Jary; libretto: Andreas Bauer; przekład i teksty piosenek: Krystyna Chudowska; opracowanie prozy: Jerzy Panaszewicz; kier. muzyczne: Ryszard Damrosz, reż. i inscenizacja: Włodzimierz Kwaskowski; choreografia: Marta Bochenek; dekoracje: Bolesław Kamiński; kostiumy: Barbara Michewicz.

maństwo (w happy endzie oczywiście) opowiada się po stronie Paryża jako miejsca zamieszkania, nie rezygnując zapewne z dopływu szwedzkich pieniędzy na podziwianie uroków miasta (to już domyśli).

Największą zaletą tekstu jest jego bezpretensjonalność i nęsilenie się na „złote myśli” oraz przestarzałe dowcipy. Może to zresztą zasługa tłumaczy i adapterów. Lekka i bezpretensjonalna jest również muzyka, w której sporo melodyjnych piosenek i fragmentów orkiestrowych. Te lekkie i bezpretensjonalne dobrze wydobył autor opracowania muzycznego i dyrygent Ryszard Damrosz.

W tego typu przedstawieniu jednak, bardziej niż w operetce, znaczenie ma strona aktorska, widowiskowa, nieustannie „dzianie się” akcja sceniczna. Reżyseria Włodzimierza Kwaskowskiego poszła zdecydowanie w kierunku wydobycia tych elementów na plan pierwszy. Widać w tym przedstawieniu pracę reżysera z aktorami i widać jej rezultaty. Pierwsza to współpraca reżyserska Kwaskowskiego z Teatrem Muzycznym i powinna być kontynuowana. Ta współpraca była chyba dla zespołu pożyteczna.

Autorzy „Nicole” podeszli do tematu właściwie, to znaczy dostatecznie mało poważnie, dostatecznie sentymentalnie. Do starych rekwizytów Paryża wprowadzili Szwedów, którzy wcale nieźle przyjmują się na tamtejszym gruncie, wbrew powszechnie panującemu opinii o ich północnym temperamencie. Mimo udanych szwedzkich podbojów zwycięża jednak Marianna, bowiem francusko-szwedzkie

Podczas premiery prasowej parę głównych bohaterów odwarziali: Krystyna Jarmułówna (Nicole) i Andrzej Fogiel (Eryk). Krystyna Jarmułówna artystycznie rodowod wywodząca raczej z operetki niż musicalu, najbardziej może stylem została wierna operetce, zresztą tylko ona

jedna. Andrzej Fogiel prezentuje typ aktorstwa współczesnego i w takich wcieleniach czuje się chyba najlepiej. Wprawdzie nie oglądaliśmy go dotychczas w większych rolach, ale wydaje się, że ten młody aktor poczynił poważny krok naprzód. Nicole dostała się do tytułu, ale głównym bohaterem musicalu jest raczej stary clochard Jeuneu. Z dużą swobodą, żartobliwym dystansem i pełnym sukcesem aktorskim zagrał go i zaśpiewał Witold Jawis. Anna Gębicka ładnie i z wdziękiem zagrała swoją Simone. „Starsi panowie dwaj”, Jan Padkowski — Eryk Nyberg i Janusz Duński — Venergren niewiele ciekawego mieli w tych rolach do pokazania. Na marginesie — wydaje mi się, że Janusz Duński nieco za wcześnie przyzwyyczajany jest do ról starszych panów.

Ponadto oglądaliśmy w przedstawieniu: Jadwigę Kende (Karin Venergren), Stanisławę Piasecką (Madeleine), Zbigniewa Bobowskiego (Rambert) oraz Mariusza i Władysława Kwiatkowskich (Malarze).

Najlepszą stroną przedstawienia jest chyba scenografia. Mam pretensję

do Bolesława Kamińskiego za dekorację, która tak skutecznie zmniejszyła miejsce dla chóru, baletu i statystów. Wyobrażam sobie, że w tej sytuacji Marta Bochenek opracowywała choreografię pod kątem miejsca, które jej pozostawiono na scenie. A przecież musical nie potrzebuje dekoracji dosłownej, potrzebuje natomiast dużo miejsca dla scen zbiorowych, tanecznych itd. Mam również pretensje do Barbary Michewicz za kostiumy — nietwarzowe i nieeleganckie dla solistów, a raczej solistek, nad potrzebne stroki i bez smaku — dla postaci dalszoplanowych. Chętnie by się też widziało na tancerkach trykoty nieco cieńsze niż ciepłe helanco, ale to zapewne przekracza możliwości teatru, a wkracza w niemożności przemysłu.



Fot. A. WACH

OBIEKTYW

START „TRYBUNY OBYWATELSKIEJ”

Jesteśmy już po pierwszej edycji „Trybuny Obywatelskiej” — program, który zgodnie z zapowiedziami telewizji ma być kontynuowany. Czwartkowe spotkanie przed kamerami z Janem Szydlakiem uznaje się za ważny moment zarówno w naszym życiu społecznym, jak i w zakresie zastoso-

W tym spotkaniu wyraziła się dobitnie dążność obecnego kierownictwa partyjnego do wypracowania nowego stylu kontaktowania się z najszerszymi warstwami społeczeństwa. Był to jeszcze jeden przejaw odnowy sprawa-

Celem tak pomyślanego programu jest skracanie i uproszczanie drog między szeregowym obywatelem a ludźmi sprawującymi najwyższą władzę. Pominięciem skomplikowanego układu hierarchii i kompetencji, drabiny urzędniczej i gąszczu przepisów — prowadzi się do skrócenia cyklu obiegu informacji. Za tym zaś pojsz powinny uzdra-
 *) „Ach, Nicole”. Muzyka — Michel Jary; libretto: Andreas Bauer; przekład i teksty piosenek: Krystyna Chudowska; opracowanie prozy: Jerzy Panaszewicz; kier. muzyczne: Ryszard Damrosz, reż. i inscenizacja: Włodzimierz Kwaskowski; choreografia: Marta Bochenek; dekoracje: Bolesław Kamiński; kostiumy: Barbara Michewicz.

Przechodząc do oceny konkretnej pierwszej wydania „Trybuny Obywatelskiej”, stwierdzić trzeba na wstępie, że nowe kierownictwo podeszło do sprawy z niezmierną wagą. Skupienie, z jakim Jan Szydlak i towarzyszący mu eksperci przysłuchiwali się przekazywanym przez red. Skulczewskiego głosom, dowiodło, że żaden najbliwszy nawet sygnał nie będzie zlekceważony, lub zignorowany. W sprawach ogólniejszej natury odpowiadać padała z miejsca, przy czym rzeczniczka kierownictwa partyjnego nie uchylała się od poruszania zagadnień najtrudniejszych. Sprawy szczegółowe przekazywane były do natychmiastowego rozpatrzenia przez odpowiednie czynniki rządowe.

Z pewnością wiele osób odeszło od telewizorów z uczuciem niedosty, tysiące telewidzów nie zdolało mimo starań uzyskać połączenia telefonicznego ze studiem na Woroniec podczas trwania programu. Ale ważne jest, że selekcja napływających do studia telewizyjnego pytań była przy-
 *) „Ach, Nicole”. Muzyka — Michel Jary; libretto: Andreas Bauer; przekład i teksty piosenek: Krystyna Chudowska; opracowanie prozy: Jerzy Panaszewicz; kier. muzyczne: Ryszard Damrosz, reż. i inscenizacja: Włodzimierz Kwaskowski; choreografia: Marta Bochenek; dekoracje: Bolesław Kamiński; kostiumy: Barbara Michewicz.

Telewizja ze swej strony zrobiła wszystko, na co ją aktualnie stać, by stworzyć dla przepływu fall informacji optymalne warunki. Uruchomiono sztab ludzi, wciągnięto do współpracy służbę telekomunikacyjną, wykorzystano nowoczesny sprzęt techniczny. Cała technologia tego programu była jawna i przejrzysta, odbywała się na oczach milionów telewidzów, budząc pełne zaufanie.

Na przykładzie „Trybuny Obywatelskiej” przekonałmi się, jak ważną społecznie rolę może spełniać telewizja. Jeśli wykorzystana będzie przez kierownictwo posiadające nowoczesną koncepcję rządzenia w ścisłym związku z narodem jako całością. Nie trzeba wyciągać zbyt daleko idących wniosków po pierwszym tego typu programie. Liczyli-
 *) „Ach, Nicole”. Muzyka — Michel Jary; libretto: Andreas Bauer; przekład i teksty piosenek: Krystyna Chudowska; opracowanie prozy: Jerzy Panaszewicz; kier. muzyczne: Ryszard Damrosz, reż. i inscenizacja: Włodzimierz Kwaskowski; choreografia: Marta Bochenek; dekoracje: Bolesław Kamiński; kostiumy: Barbara Michewicz.

Czekamy na drugą edycję! WŁADYSŁAW ORLOWSKI

„Młodzi i starzy” w Krakowie

W momencie, gdy korespondencja ta dotrze do naszych Czytelników, oba festiwale krakowskie: krajowy i międzynarodowy będą zakończono, werdykty jury znane i już uleżałe. Relacja pisana dziś, w kilka godzin po zamknięciu XI Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych będzie jednak wyrazem reakcji gorących, znaczących w chwili, gdy dyskusje o tym, co tegoroczny konkurs przyniósł, trwają. Dyskusje, spory, głośno wyrażane protesty przeciw pewnym decyzjom jury, to rzecz normalna, w przypadku tegorocznego festiwalu ich tło, zaplecze i materiał jest jednak szczególnie interesujący.

Na XI Festiwalu dokonała się znacząca zmiana warty i to na dwóch płaszczyznach: tej najważniejszej, wyznaczanej rangą prezentowanych filmów i tej drugiej — określonej udziałem w owych dyskusjach towarzyszących festiwalowej imprezie. Tegoroczny festiwal zdominowali realizatorzy bezkompromisowi, gwałtowni, czasem niesprawiedliwi w swych sądach i wypowiedziach ustnych i po-

sobą przywieźli. Zburzyli nobliwy spokój krakowskiej imprezy, zburzyli spokój sudi-
 *) „Ach, Nicole”. Muzyka — Michel Jary; libretto: Andreas Bauer; przekład i teksty piosenek: Krystyna Chudowska; opracowanie prozy: Jerzy Panaszewicz; kier. muzyczne: Ryszard Damrosz, reż. i inscenizacja: Włodzimierz Kwaskowski; choreografia: Marta Bochenek; dekoracje: Bolesław Kamiński; kostiumy: Barbara Michewicz.

„Srebrnego Lajkonika” wywiesili z Krakowa M. Piowski i A. Górna za film „KOR-

KOCIĄG”, „Brazowego Lajkonika” i nagrodę „Syrenka Warszawska” — T. Zygadlo za film „SZKOŁA PODSTAWOWA” i K. Gradowski za „KONSULA I INNYCH”. K. Kieślowski za film „FABRYKA” otrzymał nagrodę „Głosu Robotniczego”, a za film „BYŁEM ŻOŁNIERZEM” nagrodę „Zolnierza Polskiego”. „CZARNE-ZIELONE” — film J. Gębskiego i A. Halora otrzymał dyplom honorowy, „APEL” R. Czekały — „Brazowego Lajkonika”.

Prawie wszystkie, te tak różne przecież filmy, łączyło jedno: dotyczyły spraw ważnych i istotnych, nie ślizgały się po ich powierzchni. Wybrór tematu szedł w parze z odwagą i wnikliwością jego penetracji. K. Kieślowski w listopadzie 1970 roku zrealizował w zakładach „Ursus” film, którego wartość możemy dziś ocenić w kontekście powszechnych dyskusji o ekonomice polskiej. Jego „Fabryka” jest obrazem problemów, które dziś stały się jawne i znalazły się w centrum uwagi procesów reorganizacji gospodarki polskiej. K. Zygadlo w swym filmie o szkole zawarł portret dziecięcej zbiorowości, jest to jednak portret odbiegający od standardowych wzorów. Film przyniósł obraz nie tylko dzieci rozkosznych, lecz również myślących, uczestniczących swym małym życiem w świecie ludzi dorosłych, dzieci myślących i reagujących uczciwie. Jednocześnie film ten jest ważnym głosem w dyskusji o formach wychowawczych, o moralności szkolnej, jest to głos gorzki. K. Gradowski rejestrując mini-

świat oszusta Sławy-Silbersteina wypowiedział się wprost i w podtekstach o sprawach

wcale niebagatelnych w naszym życiu społecznym. Nie bał się Gradowski wdzięk bohatera swego filmu, uwiaryli jego odbiorcom. Kontrolersyjnemu w swej dramaturgii „Korkociąg” Piwowskiego i Górnej pozostaje bezsprzecznie najbardziej drapeżnym i dramatycznym filmowym plakatem antyalkoholowym. Realizatorzy uznali szok za metodę dla podjętego tematu najważniejszą, tu słowami już technąć nie można.

Te cztery filmy, a było ich na festiwalu więcej, są świadectwem rozumienia przez młodych realizatorów społecznej funkcji ich filmów. Dokument filmowy, inna forma dziennikarskiej wypowiedzi, rzeczowej, mądrej, interwenującej publicystyki, nie ma prawa cieszyć widza li tylko gładkością i urokiem filmowych obrazów, poprzestawając na rejestracji, inscenizowanej zresztą często, rzeczywistości, zastępować myślenia. Musi docierać tam, gdzie jest potrzebny, być świadectwem najgorszej nawet prawdy, prowokować dyskusję i działanie, musi być wreszcie wyrazem postawy samego realizatora wobec tematu. A forma (film to przecież sztuka), kształt wypowiedzi? — określić go musi temat i talent piszącego kamerą. Tak jak w filmie fabularnym — nie ma nań recepty.

Niektórym z filmów młodych realizatorów zarzucano pewne braki warsztatowe, prawda to niewątpliwa. Cóż jednak wynieśli widzowie z gładkich, sprawnych warsztatowo filmów takich przed laty znakomitych dokumentalistów, jak choćby Slesicki, Karabasz, Kosiński, Kidawa? Zdziwienie, jakie wywołał

fakt przyznania Grand Prix filmowi B. Kosińskiego „NATORACH” było zapewne wyrazem innych dziś zapotrzebowań na film dokumentalny. Film Kosińskiego spełnia na pewno warunki dobrego dokumentu: jest rzetelny, szlachetny, sprawnie warsztatowo. Nagrody festiwalowe zawsze w intencjach jurorów są swego rodzaju drogowskazem dla działalności na czas następny. Tegoroczny drogowskaz jednakże nie wskazuje celów najważniejszych i sposobów najlepszych. W czasach wielkiej dyskusji „o naprawie Rzeczypospolitej” film dokumentalny winien mieć głos znaczący i pełniejszy dotyczące pryncypów, bardziej liczący się w społecznej świadomości, a także dokumenty były w tym roku w Krakowie.

Gdy mowa już o drogowskazach, wspomnieć trzeba już nie zdziwienie, lecz oburzenie, jakie wywołał fakt przyznania jednego z „Brazowych Lajkoników” telewizyjnemu filmowi „GRY” G. Lajkonika. Film pojawił się w Krakowie obciążony nagrodą zdobyta we Włoszech. Kupili więc jurorzy ową propozycję złego smaku, złudy nowoczesnej inscenizacji, za którą skryły się reżyserskie potknięcia, ową bzdurną konstrukcją fabularną. Pozostała tylko ciekawa partiami choreografia. Rzadko na artystycznych festiwalach premiuje się kicz, to zdarzyło się tego roku w Krakowie.

Na XI Festiwalu, po raz pierwszy, nie przyznawano nagród w ramach poszczególnych kategorii rodzajowych, miano nagradzać filmy najlepsze. Przy tak diametralnie różnych wyznacznikach wartości dokumentu, filmu popu-

larno-naukowego czy animowanego, trudno sobie wyobrazić kryteria ocen. Wydaje się, że w tym roku, w praktyce jury rozpatrywało filmy w ich poszczególnych kategoriach. Wśród filmów animowanych, których poziom w tym roku, niestety, nie zachwycał, nagrodzono „APEL” R. Czekały. Twórca filmu pozostał wierny formule artystycznej swego znakomitego „SYNA”, zrealizował piękne w swej filmowej plastyce dziełko, trudno jednak bez pewnych oporów zaakceptować równowagę dramatycznego tematu i jego formy.

Wielkim faworytem publiczności festiwalowej był niewątpliwie film A. Papuzińskiego i St. Słiskowskiego „BYKOWI CHWAŁA”, zrealizowany w WFO i przedstawiany już wcześniej naszym Czytelnikom. Nagroda „Srebrnego Lajkonika” była wyrazem uznania dla bardzo ambitnych filmowych poszukiwań właściwych form prezentacji twórczości artystycznej już przez film zastanej, w tym wypadku również, albo przede wszystkim — osobowości artysty. Jeśli ten film można w ogóle przypisać jakiegokolwiek kategorii gatunkowej i wiązać go z popularno-naukowym filmem o sztuce, to i ten kierunek filmowej twórczości miałby swego krakowskiego laureata. Trudno jednak film „BYKOWI CHWAŁA” nazwać popularno-naukowym. Pozostaje więc nadal pytanie o szanse tego rodzaju filmowego na krakowskim Festiwalu. Do tej sprawy jeszcze powrócimy, tak jak i do spraw tzw. filmu telewizyjnego, którego propozycje były w tym roku tak wątpliwe, aż budził zdziwienie fakt ich obecności w konkursie.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

ZACZAROWANY ŚWIAT KLEJNOTÓW SALVADORA DALI

Klejnoty — kwiaty ze złota, których liście inkrustowano diamentami. Kielichy otwierają się i zamykają dzięki ukrytemu mechanizmowi. Upadły anioł, cały ze złota, poruszający skrzydłami i gwiazda z szafiru, zdobna

go ekstrawagancje, niesamowite pomysły w życiu i sztuce szokują lub śmieją? A jest to człowiek, który wywarł przemożny wpływ na kształt współczesnej sztuki i obok Picasso jest, jeśli nie najwybitniejszym, to jednym z najwybitniejszych artystów naszej epoki. „O wiele mniej nonsensu jest w mojej metodzie

Na tę wystawę wchodzi się jak do świątyni, gdzie w półmroku połyskują szlachetne metale i iskrzą się drogie kamienie. W kunsztownie wykonanych szkatułach, wyłożonych czarnym aksamitem, klejnoty spoczywają jak relikwie. Jest ich 36. Nie są to ozdoby, przeznaczone do noszenia, klejnoty Salvadora Dali są rzezbami. A rzeźby te żyją. Dzięki ukrytym mechanizmom dygoczą, drżą, rozbłyskują i gasną by w chwilę potem znów rozbłysnąć; obracają się, pulsują, otwierają się i zamykają kielichy kwiatów. Misterne, kunsztowne cacka, w których każdy szczegół został przez artystę doskonale przemysłany. Dali sam wybierał tworzywo. Diamenty i rubiny, smaragdy, szafiry, korale, lapis lazuli, topazy — sprawdzało z różnych części świata, rozmaitych krajów, z Brazylii i Meksyku, z ZSRR i Afryki. Przy doborze kamieni Dali liczył

gwiazda z szafiru”, twierdzi artysta.

RIMBAUD WRESCIE SFILMOWANY

We wrześniu ub. roku pisaliśmy na tym miejscu o projektach sfilmowania życia wielkiego poety francuskiego Arthura Rimbauda przez francuskiego reżysera Jacquesa Lanzmanna. Ponadto jeszcze kilku filmowców, m. in. Luchino Visconti, zamierzają nakręcić film o Rimbaudzie. Udało się do niego zrealizować tylko jednemu — Włochowi Nello Risi. Podobno trudności nakręcenia filmu w Etiopii były niemal nie do pokonania. Risi jednak przezwyciężył je dzięki temu, że jego współpracownik ma brata bardzo ustosunkowanego w Addis-Abebie. Jak się więc okazuje i w Etiopii pomoc może „kumoterswo”. Wracając do Rimbauda to, jak wiadomo, jego życie owiane jest legendą. Wybitny poeta, po krótkim, wybuchowym okresie młodzieńczej twórczości, łamie pióro i mając dwadzieścia dwa lata zaczyna awanturnicze życie. Po krótkiej służbie w hollenderskich wojskach kolonijnych dezertuje, wraca do Francji, by wkrótce wyjechać na Cypr, a potem udać się do Etiopii. Ten właśnie okres życia pobytu poety w Abisynii w latach 1889—1891 jest najbardziej dla nas tajemniczy i najbardziej budzący kontrowersje wśród biografów. Handlował podobno nie tylko bronią, kawą, skórą, ale i czarnymi niewolnikami. Jeden z listów Rimbauda z roku

1890 potwierdzać ma to przypuszczenie.

Nakręcanie filmu przez Nello Risi w Etiopii trwało osiem tygodni. Film jest na ukończeniu, a jego tytuł jest identyczny z tytułem jednego z utworów Rimbauda: „Sezon w piekle”. Pracowano w niezwykle ciężkich warunkach terenowych i klimatycznych. Wiele dni i nocy spędzono pod gołym niebem. Obozowano w miejscach odludnych i tak trudno dostępnych, że dostawano się do nich jedynie samolotem. Rolę Rimbauda gra Anglik Terence Stamp. Podczas nakręcania filmu schudł on o siedem kilo, a jak twierdzą jego znajomi, niebieskie oczy aktora wyblakły pod palącym słońcem Afryki. Nie zna on ani języka francuskiego, ani włoskiego. Toteż trudno mu było rozmawiać z kolegami, włoskimi filmowcami. Twierdzi jednak, że pomagała mu ta izolacja dla wczucia się w osobowość Rimbauda.

Wielkie wrażenie na ekipie filmowej zrobiło pełne egzotycznego uroku, miasteczko Harar, położone o 417 km od stolicy Abisynii. To tu właśnie osiedlił się Rimbaud w czasie swej bytności w Etiopii, stąd to właśnie wyruszał na swe handlowe, pełne przygód, podróże. Filmowcy twierdzą, że poeta, w swej młodzieńczej twórczości, przedstawił m. in. prolog wizeru tego świata, którego rzeczywistość miał następnie poznać.

Przy okazji wspomnijmy, że ostatnio władze francuskie wystąpiły do rządu Abisynii z propozycją za-

kupienia domu w którym żył Rimbaud w Hararze. W budynku tym urządzone by muzeum poety. Jak dotąd odpowiedź z Addis-Abeby na tę propozycję nie nadeszła.

NIEZNANE DZIEŁO REMARQUE'A

Aktorka filmowa Paulette Goddard, wdowa po niemieckim pisarzu Erichu Marii Remarque, autorze m. in. słynnych i dobrze u nas znanych powieści takich jak „Na zachodzie bez zmian” czy „Luk triumfalny”, przekazała manuskrypt ostatniej, nie wydanej powieści męża jednemu z wydawców monarchijskich.

Sześć wydawnictw zachodnioeuropejskich wykupiło już prawo drukowania tłumaczeń tej powieści bez czytania jej i jakiegokolwiek zapoznania się z tekstem.

NAGRODA LITERACKA IM. ILJI ERENBURGA

Dla uczczenia 80-tej rocznicy urodzin Ilji Erenburga (1891—1971), prezesa i założyciela Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Francuskiej, Prezydium Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Radzieckiej postanowiło, począwszy od roku bieżącego, przyznawać co dwa lata nagrodę im. Ilji Erenburga pisarzom francuskim za dzieła w dziedzinie powieści i reportażu, które akcentowałyby przyjaźń między narodami francuskim i radzieckim. Laureat otrzyma 1000 franków i bezpłatną podróż po ZSRR.



platiną w której tkwią iskrzące się diamenty. Klejnoty „Oko czasu”, oko i zegar równocześnie, z niebieskiej emalii, brylantów i pereł. „Rubinowe usta” z rubinów, złota, pereł.

Jest tylko jeden współcześnie żyjący artysta, który z jarmarcznych niemal pomysłów, potrafi dokonać cudów, stworzyć prawdziwe arcydzieła. Z drogich kamieni i szlachetnych metali Salvador Dali wyczarował świat znany nam tylko z baśni i fantastycznych opowieści o czaroksiężniczkach. Kim jest ten 66-letni artysta? Geniuszem czy wariatem? Dziwakiem, które-

— mówi Dali — niż metody w moim szaleństwie. Dlatego powtarzam, powtarzam i powtarzam wciąż i zawsze, że jedyną różnicą między mną a obłąkanym jest ta, że ja nie jestem wariatem. Surrealizm — to ja!”

Wystawa klejnotów wykonanych w Nowym Jorku na zamówienie „Owen Cheatham Foundation” na podstawie projektów i pod ścisłym nadzorem Salvadora Dali jest ważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym Paryża. Aby ją urządzić, kosztem pięciu milionów franków, odrestaurowano osiemnastowieczną budowlę przy avenue Matignon.



symboliką danego kamienia. Rubiny mają kolor krwi, i symbolizują równocześnie siłę witalną, szafir jest oznaką szlachetności i wzniosłych uczuć, szmaragd — to rozwijająca się bujnie roślinność. Małeńkie serce z rubinu, klejnot-rzeźba Salvadora Dali pulsuje jakby żywą krwią. I nie jest to przecież próbą medycznego odzworowania tego ludzkiego organu. Nad „Upadłym aniołem” Salvadora Dali świeci szafirowa gwiazda, bowiem „w momencie gdy upada anioł, rodzi się

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

★ Z. FIJAS — Wspomnienia

★ A. MAKOWIECKI — Dwie niedziele przed sezonem

★ W. ŁUSZCZYKIEWICZ i H. POLAK — Kto podejmie ryzyko?

oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna;

Bez strachu

PTAKI PATRZA NA NAS

— Tatusiu, czy jak ptaki patrzą na nas, to nas widzą?
— Jak patrzą to i widzą, moje dziecko.
— Czy ptaki nas biorą za ptaki?
— Nie wiem, moje dziecko.
— Bo przecież my nie mamy skrzydeł...
— Kiedy ptaki chodzą po ziemi, skrzydła są niewidoczne.
— To może ptaki biorą nas za takie ptaki, które chodzą po ziemi?
— Nikt prócz ptaków nie wie, moje dziecko, za kogo nas biorą ptaki.
— Tatusiu, czy samolot jest ptakiem?
— Nie, samolot jest maszyną.
— Czy maszyna może być ptakiem?
— Nie, ptak przecież żyje.
— Tatusiu, czy ja żyję?
— Tak, ty żyjesz i będziesz żył bardzo długo.
— Tatusiu, czy jak ja umrę, to będę maszyną?
— Nie, nawet kiedy umrzesz, nie będziesz maszyną.
— Tatusiu, czy kiedy umrę, będę ptakiem?
— Nie, nawet kiedy umrzesz, nie będziesz ptakiem.
— Tatusiu, co robi ten wróbel?
— Ten wróbel kapie się w ziemi, w piasku.
— Czy ja mogę się kąpać w ziemi, w piasku?
— Nie, bo się pobrudzisz.
— A czy wróbel się nie pobrudzi?
— Nie, wróbel jest ptakiem.
— Tatusiu, czy jak ja umrę, będę się kąpał w ziemi?
— Nie, i nie marudź już proszę.
— Tatusiu, kto jest bardziej ptakiem: orzeł, kura czy wróbel?
— Myślę, że wróbel.
— Tatusiu, dlaczego jemy kury, a nie jemy wróbli i orłów?
— Bo nie są smaczne.
— Czy każdy ptak jest smaczny?
— Nie, smaczna jest kura.
— Tatusiu, czy orzeł jada kurę?
— Tak.
— Czy kura jada orła?
— Nie.
— Czy kura lubi, jak ją jedzą?
— Tak, lubi, jak ją jedzą grzeczne dzieci.
— Czy kura lubi, jak ją je orzeł?
— Nie.
— Tatusiu, czy orzeł jest grzeczny?
— Nie, orzeł jada kury.
— A jak dziecko orla jada kury, czy jest grzeczne?
— Nie, nie i przestań już pytać.
BERNARD SZTAJNERT



OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

POŻAR, POŻAR...

STRAZACY W ANEGDOCIE — „SKACZ PAN” — PALI SIĘ NA PARTERZE — DRABINA Z PIOTRKOWA — KIEDY SIĘ KONCZA ZARTY? — DLA ŁODZI ZA WYSOKO — „COS NARESZCIE DZIEJE SIĘ...”

Nie wiem czemu, ale strażacy są od lat obiektem dobrodusznym dowcipów i anegdot. Sam pożar jest widokiem ponurym i tragicznym, świadogorzeliśka przypomina wojnę. Ale strażacy idealnie nadają się do anegdoty, choć ich specyficzna praca nie niesie w sobie elementów żartu. Dlaczego tak się dzieje — nie wiem. Ot — jeszcze jeden paradoks naszego życia.

Jeden z moich przyjaciół opowiadał ze smakiem strażacką anegdotę, wcielając się w postać strażaka: „Pali się — panie — dom, ale fajnie się pali, a na piątym piętrze jakiś facet się drze: „O rany, bo się spali”. To my wo-

lamy: „Skacz pan”. Ale on się boi, to my wolamy: „Skacz pan, my tu mamy takie płachty, jak pan na nie skocz, to nie panu nie będzie”. No i on skoczył, a my w śmiech, bo my żadnych płachtów nie mieli...”

Może to głupia anegdota, może niewłaściwy to śmieszek przy pożarze, ale... coś z życia w niej jest. Oto pali się w Łodzi katedra, trzydzieści jednostek straży ratuje, ale okazuje się, że w 750-tyśięcym mieście brak... wysokich drabin, które trzeba ekstra sprowadzić z Piotrkowa Trybunalskiego. Jak to było w anegdocie? „Bo my żadnych płachtów nie mieli...”

Opowiadał mi dyrektor pewnych zakładów, że zgłosił się do niego komendant straży z prośbą o interwencję. Otóż jeden ze strażaków nie chce wykonywać poleceń — co z nim zrobić? Dyrektor wezwał strażaka i pyta, o co chodzi. „Panie dyrektorze — rzecze ryceur św. Floriana — komendant mi kazał wejść na dach, a ja nie wejść”. „Dlaczego?” — „Bo ja, panie dyrektorze, jestem strażak parterowy”.

Śmiech śmiechem, ale zdarzyło się kiedyś nieszczeście, że zapłonęła zecernia drukarni prasowej. Zecernia była na piętrze i z gaszeniem miano sporę kłopotów, bo ciśnienia wody w pożarowych hydrantach starczało zaledwie na parter. Na pierwsze piętro woda już docierać nie chciała. Jest więc coś z życia w anegdocie o strażaku parterowym?

Straż pożarną mamy ofiarą (zrymowało mi się), ale taką bardziej parterową. Wysokich drabin brak, woda też tylko dochodzi do parteru — na dodatek nawet strażacy są parterowi. Całe szczęście, że to ostatnie jest przynajmniej anegdotą, bo w

rzeczywistości ludzie ci dokonują cudów na wysokościach i swoją odwagą rekompensują techniczne braki.

Inkrustując ten felieton anegdotą, ale rzecz jest poważna. Miasto się buduje — nie tylko wszędzie i w całym. Mamy coraz więcej wieżowców mieszkalnych i biurowych — może się przecież zdarzyć nieszczeście pożaru. Oczywiście odsuwamy wszystkie od siebie takie ponure myśli, ale przecież trudno nie brać w rachubę takiej ewentualności.

Co wtedy? Drabin wysokich brak, z wodą kłopoty — a na dodatek nowe wieżowce nie mają zapasowych (zewnątrznych) schodów awaryjnych na wypadek pożaru. Czy będzie nas zawsze szybko i skutecznie wspierać w nieszczeście straż pożarna z Piotrkowa, który nie ma wieżowców, ale ma drabiny?

Myślę, że gdzieś na górze — tam, gdzie nie sięgają szczyble łódzkiego „Magirusa” — zapomniano o Łodzi tak dokładnie, że nawet w drobnych, choć istotnych sprawach, lekceważono potrzeby mia-

sta. Nie tylko inwestycyjne, ale i strażackie.

Czesi nakręcili film „Pali się, moja panno”, opowiadający o strażackiej galowce. Nie mam nic przeciwko żartom, jeśli chodzi o uroczystość i orkiestrę dętą. Ale, gdy się pali — kończą się żarty i zaczynają schody. Anegdoty o strażakach są nieraz zabawne — pożary nie są zabawne nigdy. Dowcipy rysunkowe o strażakach są ozdobą każdej antologii humoru — zgłiszczą spalonego domu są tragicznym śladem żywiołu, niszczonego ludzki dorobek i dobytek.

Jak to więc się stało, że łódzka straż potraktowano z humorem, każąc jej działać ofiarnie — nie ofiarowując możliwości technicznych, jakich wymaga duże miasto? Przed paroma laty śpiewano w warszawskim STS: „Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...” Bardzo to typowe — coś się zaczyna dziać, kiedy już pożar. A czy nie można by „zadziałać” z nim się zacznie palić?

JERZY WIDOK

ROBERT T. OWENS

Mieszkaniec krypty

Może by go tam nigdy nie zauważyli, lecz stary człowiek musi czasem wstawać w nocy. Otworzył kryptę i udał się w kierunku drzwi z napisem „Panowie” w głębi marmurowego przedsionka. I właśnie w tym momencie przechodził tamtędy strażnik nocny. Zaalarmowana telefonicznie policja spotkała strażnika uciekającego z cmentarza przez łękę do szosy. Był przerażony i dopiero gdy się znalazł w samochodzie policyjnym wyjąkał: — Tam... tam... zamartwychwstał umarł!

— Gdzie? Proszę powiedzieć dokładnie co pan widział i gdzie.

Pokrzepiwszy się ostatnim tykaniem whisky, która jeszcze została w butelce, strażnik zaprowadził policjantów do korytarza z białego marmuru i drżącym palcem wskazał trzecią kryptę w drugim rzędzie, gdzie metalowa tabliczka miała wyłożone nazwisko „Donald Abbott”. Nie podawała jednak daty urodzenia i śmierci.

Policjant nacisnął klamkę znajdującą się pod tabliczką i otworzył żaluzjowe drzwi. W krypcie na katafalku leżały zwłoki starego człowieka o pomarszczonej, chudej twarzy i siwych włosach.

Nagle ciało poruszyło się, siwe usta zadrgały: — Co chcecie?

Zdenerwowany policjant wydzignął pistolet i zapytał:

— Kim pan jest?

— Donald Abbott.

— Czy pan jest człowiekiem niezłym?

— W pewnym sensie... tak.

— Chcę wiedzieć, co pan tu robi?

— Próbuje zasnąć.

— Proszę stąd wyjść!

— A dlaczego? To jest moja krypta, jestem w swoim domu.

— Nie może pan tu zostać, dopóki pan żyje. Proszę stąd wyjść, pójdziemy do sierżanta.

— Pańskie postępowanie jest bezprawne, ale trudno — westchnął starszek. — Pójdę z panem. — Pan Abbott zszedł z katafalku, ubrał się, wziął słomkowy kapelusz i zamknął starannie drzwi krypty...

W komendzie policji przez kilka godzin dyskutowano nad sprawą Abbotta. Starszek pokazał kwit na dowód, że nabył niedługo kryptę 452 za tysiąc dolarów. Policja nie wiedziała, czy oskarżyć go o włóczęgo-

stwo czy o bezprawne zajęcie.

O 10 zaprowadzono Abbotta do prokuratora, który lubił załatwiać sprawy szybko. — A więc nie wystąpimy z oskarżeniem przeciw panu — rzekł. — To prawda, że pan zakupił kryptę, lecz właściciel mauzoleum, Roger Stick junior zagroził, że gdy jeszcze raz spędzi pan noc w krypcie, zaskarży pana do sądu.

— O co?

— O bezprawne zajęcie.

— Głupota — oświadczył Abbott. — Proszę przeczytać, co wydrukowane w kontrakcie: „Mauzoleum jest otwarte dla publiczności przez całą dobę. Rodziny mogą odwiedzać swych drogich zmarłych o każdej porze. Budynek jest stale oświetlony. Jest w nim wygodny salonik, gdzie krewni mogą się spotykać, albo samotnie poczytać, medytować, modlić się. W salach dla publiczności są głosniki z tłumikiem, które nadają różne melodie.” — A więc jak mogę być oskarżony o bezprawne zajęcie?

— Może oskarżyć pana o włamanie.

— Do mojej własnej krypty? Przecież pierwszy punkt kontraktu mówi: „Nabyliście miejsce na wieczność, ze statym korzystaniem”.

Prokurator poruszył się na krześle niespokojnie.

— Czy pan ma zamiar dalej spać w mauzoleum?

— Naturalnie.

— Radzę panu porozumieć się z adwokatem Tomem Roperem.

— Ja... nie... Myślę, że nie pójdę do niego.

— Pan Roper jest młodym adwokatem ze słynnej spółki adwokackiej Roper and Roper.

— Wiem o tym. — Abbott znów się zawahał. — Obawiam się, że będzie dla mnie za drogi.

— Każdy prawnik co jakiś czas podejmuje się także obrony z urzędu. Pomoc Toma Ropera będzie zupełnie bezpłatna...

* * *

— Jak dawno pan spisał w tej krypcie? — zapytał Tom Roper III.

— Chyba od roku.

— Dlaczego? Jak to się zaczęło? Skąd ta myśl?

— Powstała na pogrzebie bankiera George'a Ginnisa, ostatniej osoby z mojego środowiska. Gdy robotnicy zamurowali

piętę grobową, zacząłem spacerować wzdłuż korytarzy czytając nazwiska zmarłych. Znałem prawie wszystkich. Potem znalazłem się przed moją kryptą... Dzień był gorący, zmęczyłem się. Czekała mnie długa droga z mauzoleum do bramy cmentarnej, potem przepelniony autobus, który jechał w kierunku mojego pensjonatu trzeciej kategorii. Pomyślałem, że mogę umrzeć w czasie drogi... Drzwi mojej krypty łatwo się otworzyły, wśliznąłem się do wnętrza. Obudzilem się następnego dnia rano, świetnie wyspany, co mi się nie zdarzyło od wielu miesięcy.

— A jak pan tam mógł oddychać?

— Proszę zauważyć, co mówi kontrakt kupna: „Każda krypta posiada klimatyzację, która wchłania wilgość i przedłuża konserwację”.

— I przez cały czas pan tam spał?

— Następnego dnia wróciłem do pensjonatu, lecz widok brudnej jadalni i jej klientów działał na mnie przygnębiająco. Także i ludzie są tam trzeciej kategorii. Pod wieczór włożyłem ciemny garnitur i poszedłem do mauzoleum. Wyciągnięty w krypcie czułem się narazie w domu i między swoimi. Mauzoleum zbudował Roger Stick senior, mój przyjaciel, w okresie gdy miasto bogaciło się z powodu nafty. Wszyscy ludzie zamożni wynajmowali dla siebie krypty, uważano to za wyróżnienie.

W tym czasie byłem agentem handlowym, niektórzy mówili, że zrobiłem karierę. Nabytej tej krypty miało mi ułatwić drogę do najlepszego towarzystwa. Pewnego wieczoru, podczas przyjęcia, pani Ginnis, matka George'a, podeszła do mnie i rzekła: „Panie Abbott, jest pan między Maud Spriggins a moją kuzynką Lydią Mudgen, spędzi pan wieczność w towarzystwie dwóch naszych pobożnych i szlachetnych osób”. Dzięki pozycji, która mnie oczekiwiała w wieczności, pani Ginnis w czasie najbliższego uroczystego obiadu w jej domu posadziła mnie przy jednej ze swych córek.

Tom Roper rozemknął się głośno. — Naprawdę, zakupił pan kryptę, aby wejść w szeregi dobrego towarzystwa?

— Tak, a poza tym powodziło mi się finansowo bardzo dobrze. Nabyłem pakiet akcji towarzystwa naftowego, które wkrótce odkryło wielkie złoża ropy. Przez dziesięć lat żyłem dostatnio z dochodów mojego udziału. Miałem apartament w Athletic Club i co jakiś czas grywałem w pokera z tymi, którzy jeszcze pozostali z mojego środowiska. Później złoża wyczerpały się i moje dochody znacznie się zmniejszyły. Musiałem zrezygnować z klubu i

przystosowywać się do coraz tańszych pensjonatów.

— Czy pan nie ma rodziny?

— Nie mam. — Pan Abbott milczał jakby nie słyszał pytania. — Nie, nie mam rodziny — wyszeptał w końcu.

— Przysiągłbym, że mężczyzna w pańskiej sytuacji musiał być niegdyś partią bardzo poszukiwaną.

— Może i byłem, lecz popełniłem błąd. Zakochałem się w dziewczynie, której matka miała wyższe aspiracje dla swej córki.

— Uśmiech Toma zabarwił się

Roper III był podobny do

matki.

— Panie Abbott — rzekł adwokat wchodząc do pokoju. — Mam dla pana dobre wiadomości. Stick chce odkupić pańską kryptę za sumę sześciokrotnie wyższą od pierwotnej.

— Lecz ja nie mam zamiaru jej sprzedawać.

— Za tę sumę mógłby pan żyć wygodnie. Panie Abbott, czy nie uważa pan, że to przykre spędzić życie na cmentarzu?

— Dlaczego przykre? Są tam wszyscy moi przyjaciele. Rano wstają i jem śniadanie w oko-

leum jest pomnikiem jego matki.

— Zostaw w spokoju tego człowieka, niech śpi w swej krypcie.

— Będzie tam spał tylko jako nieboszczyk, nigdy inaczej! Jeżeli wróci dziś wieczorem, moi adwokaci postarają się, że będzie spał w więzieniu.

— Spróbuj go aresztować bez mandatu a ja cię zaskarzczę o nadużycie. Uważaj, nie żartuj.

— Szantażysta! Twój ojciec i twoja matka są pogrzebani w tym samym korytarzu. Czy pozwolił, żeby ich święte miejsca spoczynku stały się przedmiotem drwin? Dlaczego bronisz Abbotta?

— Być może, iż Abbott jest przy swoim prawie. A poza tym czuję sympatię do tego starszaka.

— Uprzedzam cię, Tom, błada ci, jeżeli pozwolił, aby ten człowiek tam wszedł! Połączenie zostało przerwane...

— Dobrze byłoby, gdyby się pan zjawił u mnie jutro rano — rzekł Tom do Abbotta. — Chciałbym ulokować pana w przywoitym pensjonacie choćby do czasu aż ta sprawa uspokoi się.

— Nie, dziękuję. Jestem panu bardzo wdzięczny za wszystko.

Abbott skierował się ku drzwiom. Nagle przystanął. — Chciałbym panu coś wyznać. Matka pana miała pasję zbierania fotografii i wycinoków. Czy zachował się jej album?

— Tak, mam go w domu.

— Jeżeli pan znajdzie fotografię matki zrobioną tego wieczoru, który był jej debiutem towarzyskim, to zobaczy pan, że mężczyzną, który jej towarzyszył byłem ja. Owego wieczoru pańska matka była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Pan jest do niej podobny, młodzieńcze.

— Panie Abbott, proszę być moim gościem. Chciałbym, żeby pan poznał wnuczka.

— Dziękuję, lecz nie mogę. Przebýwałem dziś zbyt długo z żywym, to ponad moje siły. — Zachwał się i oparł o ścianę.

— Czy pan się już czuje?

— Nie, nie... jestem tylko zmęczony. Wezmę taksówkę.

Nikt nie zatrzymał Donalda Abbotta, gdy szedł korytarzem mauzoleum. Nikt nie widział, gdy zatrzymał się przed kryptą Mary Roper. Zakrył ją ręką i szepnął: — Mary! Mary! Dziś widziałem naszego syna!

Sąd nie potrzebował zajmować się sprawą Abbotta, zmarł tej nocy we własnej krypcie.

A. S.



rozumieniem i sympatią. — Zapewne pan znał mojego ojca i matkę?

— Tak, znałem ich.

— Czy nie pomyślał pan, gdy nastąpił kryzys, aby zwrócić się o pomoc do kogoś ze swych przyjaciół? — Na przykład — do George'a Ginnisa?

— O, nigdy! — Abbott rozemknął się. — Bankier najbardziej nienawidził niepewnej lokaty kapitału i prywatnej pożyczki.

— Panie Abbott — rzekł Tom — zatelefonuj teraz do właściciela mauzoleum, pana Sticka juniora. Muszę przyznać, że nie lubię z nim rozmawiać, to jest idiota nadziany pychą, ciągle się chwali i obmawia innych. Uwzględnił się na pana.

Zostawisz sam, starszek rozglądał się wokół. Na ścianach wisiały portrety założycieli firmy „Roper nad Roper”. Oba mieli wysokie czoła i przeliskliwe oczy. Lecz wnuk — Tom

lecznym barze. Potem czytam gazetę siedząc w słońcu na laweczce, wśród kwiatów. Jeżeli pogoda nie sprzyja, idę do salonu dla publiczności i słucham muzyki. Wieczorem siadam przed jakąś kryptą i pogadam ze starym przyjacielem.

— Zgoda, lecz uprzedzam, że walka będzie ciężka. Pórzamiam jeszcze ze Stickiem.

Tym razem, gdy adwokat wyszedł z pokoju, Abbott podniósł słuchawkę odgłoszenia telefonicznego i mógł słyszeć zirytowany głos Rogera Sticka.

— Nie chcę nawet dyskutować na ten temat! Jeżeli ten stary idiota spróbuje tam spać tej nocy, każę go aresztować!

— Bez nakazu sądowego nie możesz tego zrobić. Roger, posłuchaj mnie. Pan Abbott był przyjacielem twojego ojca, wiem, że pomógł mu, gdy...

— Nie mieszaj mego ojca z pewną kategorią ludzi! Mauzo-



Lewym okiem

GABINET DOKTORA CALIGARI

Oglądałem niedawno film sprzed kilkudziesięciu lat, z epoki niemieckiej — „Gabinet doktora Caligari”. Bohater tego filmu, psychiatra i dyrektor kliniki psychiatrycznej, grzebiąc w ogromnej i bardzo starożytnej księdze doczytał się w niej prastarych zapisków o pewnym typie, który wykorzystywał chorego na śpiączkę, czy może zahipnotyzowanego osobnika, do popełniania przez sen rozlicznych zbrodni. Psychiatrę opanowuje obsesja poczyna podobnych doświadczeń — i wreszcie dokonuje ich. „Somnambulik” morduje na rozkaz lekarza ściśle według recepty starej księgi, choć do końca filmu nie wiadomo po co.

Potem był drugi film z tej epoki — „Nosferatu”. I znów — stare tomisko opowiada bohaterowi rewelacje sprzed wieków o wampirach pijących krew i śpiączkach w trumnach z ziemią nie poświęconą, opowiada mądrze, uczenie i tak szczegółowo, że działające tymczasem nadal wampiry stają się czymś całkiem zrozu-

miatym, wyjaśnionym przez uczonego z dawnej, mądrzejszej, bardziej utajenniczonej epoki.

Jest to — jak się bliżej przyjrzeć — ulubiony chwyt literacki, stosowany nieraz w literaturze i sztuce ekspozycja: w starych foliatach natyka się szperacz na coś, co świadczy, że ludzie kiedyś byli mądrzejsi o całe ogromy wiedzy ezoterycznej, że wszystko co dziś wydaje się niezwykłe, przedziwne, nie z tej ziemi — dostrzeżono i zbadano już dawno, że umiano panować nad tajemniczymi siłami, wywoływać i unicestwiać cudaczne byty.

W starych księgach drzemią demoniczne, przyczone moce. Stare księgi są atrybutem czarnej magii, zawierają słowa skuteczne NA WSZYSTKO, na zły i na czarownicę, na wampiry, zaćmienia słońca, wizyty nieboszczyków w łaźni, zamianę zwiiru w diamenty i księżniczki w żabę. Stare, ale koniecznie stare, jak najstarsze, księgi są alfa i omęga wszelkiego dziania się na tym i na innych światach.

Faust znajduje drogę do szatana i nawiązuje z nim kontakt dzięki studium starych ksiąg. Zakochana wiedźma w filmie pod tym samym tytułem zaudziacza bibliotecę, odziedziczoną po mistyku, sztukę rozdawania własnej osobowości i stawania się na życzenie raz starą, mądrą babcią, raz urodziwą i buchającą seksem dziewczyną. Twardowskiego księgi nauczyły przywoływania postaci zmarłych przy pomocy samych tylko słów, odpowiednio wypowiedzianych.

Wiara w mądrość i lek przed mądrością. Odróczenie się od doczesnych uciech i zagłębienie w księgach od stuleci już przyjmowane jest podejrzliwie, z tego nic dobrego nie wyniknie, to jest zamach, zamach na tajemnicę, których znajomość daje władzę, ale władzę złą.

Księgi są ładunkiem zła. Ale to jeszcze można zrozumieć: naturowego prostaczka o dobrym sercu łatwo przeciwstawić milczącemu mędrocwi, po którym nie wiadomo czego oczekiwać. Dwutysięcletnia kultura chrześcijańska oparta była na kulcie takiego prostaczka, mądrość zastrzegano dla nielicznych i zbytnio do niej nie zachęcano. To szatan był mądry, to on wskazał księgi do rąk kacerzom, alchemikom, Galileuszom i Kopernikom, których trzeba było wyklinać.

Alle czym tłumaczyć tę pokutującą w podświadomości wielu ludzi wiarę, że coś po drodze przez tysiąclecia zgubiliśmy, my — ludzie? Że nasi przodkowie widzieli więcej, a wiedza ich została zapomniana, rozlaża się gdzieś po archiwach i dziturach zapażeczonych, gdzie rzadko komu uda się ją nagle odkryć? Prawda, że tę wiarę opatrujemy już dziś cudzysłowem, głosimy ją z przymrużeniem oka, wykorzystujemy jako roboczy chwyt przy produkowaniu rozrywkowych dreszczyków. Ale przez wiele stuleci było to prawdziwe, szczerze przekonanie; cudzysłów jest wynalazkiem ostatniego półwiecza, wszystkim już przecież bierzemy w cudzysłów, siebie też...

Wizyta w antykwariacie, w archiwum starych dokumentów, w dziale starodruków wielkiej biblioteki — wprowadza nas w stan onieśmienia: ileż myśli ludzkiej zawarto w tych szarych, żółtych, spociętych papierzykach! Jakże bezradny jest jeden człowiek wobec takiego oceanu! Ale to nieprawda, że ludzie sprzed odkrycia Ameryki, sprzed zburzenia Bizancjum czy zgola sprzed wyprawy Mojżesza na Wschód, widzieli coś ważnego o czym my nie wiemy. My wiemy więcej o wszystkim i będziemy wiedzieli coraz więcej. Z całą pewnością.

CWIEK